DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. CASH MACANAYA/UNSPLASH, LHON KARWAN/UNSPLASH, OLEKSII LISHCHYSHYN/SHUTTERSTOCK

Technologia / M**3**

Replikanci nadchodzą

Świat wchodzi w epokę humanoidalnych robotów. Będą naszymi sługami, współpracownikami czy panami? I od czego – albo od kogo – to zależy?

zastanawia się Sebastian Stodolak

Przedsiębiorczość / M**20**

Kto zarabia na czasie zaoszczędzonym dzięki AI?

Pracownik, który dzięki AI kończy zadanie szybciej, może w nagrodę dostać kolejne obowiązki. Firma daje mu powód, by następne usprawnienie zachował dla siebie

pisze Błażej Sajduk

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 202 (6871), 16–18 PAŹDZIERNIKA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 619bc0a215

Kraj / M7

Kraj średnich miast

Zmiana włodarza Krakowa i nieudana próba odwołania prezydenta stolicy raczej nie dowodzą istnienia fermentu w polityce lokalnej. Wolimy to, co działa

opinia Piotra Wójcika

Ameryka / M12

Tortury w medycznej scenografii

Sprawa nieudanej egzekucji Christy Pike jest wyjątkowym przykładem okrucieństwa, ale nie jest odosobnionym incydentem

pisze Emilia Świętochowska



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Psujemy kraj, ale za to jesteśmy w nim ważni

Jan Wróbel

Donald Tusk liczy na to, że w ogólnym zniechęceniu do działań politycznych w odniesieniu do trybunału i sądów w końcu przeprowadzi się siłą nibyreformę pseudoreform minionych lat. Prezydent i coraz bardziej zależni od niego pisowcy liczą dokładnie na to samo, dlatego mobilizują swoich fanatyków, by utrzymali pozycje na froncie do przyszłorocznych wyborów parlamentarnych. W rezultacie mamy to, co mamy.

Maciej Berek złożył w Sejmie ślubowanie sędziego TK „wobec prezydenta", tyle że bez prezydenta. Prezydencki minister, o którym przebąkuje się, że może zostać premierem, odparował: „To nie ma nic wspólnego z państwem prawa, nic wspólnego z demokracją". Niestety, ani on, ani sam prezydent nie wskazują drogi, by zgodnie z demokracją i zasadami państwa prawa przywrócić całemu wymiarowi sprawiedliwości w Polsce blask niezależności. Nie spieszy się do tego również premierowi.

Dlaczego? Niestety z powodu prostego i znanego wszystkim. Każdy kompromis zakładałby gotowość wszystkich stron sporu do przyznania się do własnych błędów. Nie ma powodu uważać, że uczciwie poprowadzony okrągły stół prawników i polityków niósłby za sobą sondażowe spadki i ryzyko wyborczej klęski. Prawdę mówiąc, kto ma głosować na KO, i tak nie bardzo ma inne wyjście. W przypadku PiS wyjście jest, bo można zagłosować na partię Morawieckiego, o ile ta wreszcie powstanie. Umówmy się jednak, że to wybór w ramach syjamskiego rodzeństwa.

Nie, nie o sondaże i wybory tu chodzi, lecz o egoizm partyjnych elit. Najzwyczajniej w świecie nauczyły się one działać w warunkach demokracji gorączkowej. I tego oblicza demokracji chcą.

Ich przekaz jest oderwany od rozwiązywania spraw realnych (choć, co warto docenić, nieraz się tym zajmują, niejako przy okazji). Przezwyciężenie wspólnymi siłami kryzysowej sytuacji w polskim sądownictwie ukazałoby nędzę socjotechniki nastawionej na wieczne utrzymywanie wysokiej temperatury polaryzacji. Owszem, mamy spór więcej niszczący niż budujący, ale to on daje rację istnienia liderom naszych głównych formacji politycznych. I karmi niemałą część przemysłu medialnego nad Wisłą. Psujemy kraj, ale za to jesteśmy w nim ważni – to cała filozofia.

Plus bonus – nie musimy się przesadnie przejmować obowiązującym prawem. ©℗



FOT. TOPFOTO/FORUM

Historia / M26

Bunt młodych

Pełną sukcesów prezydenturę Charles'a de Gaulle'a przerwał bunt studentów. Stało się to w momencie, gdy Francja odzyskała mocarstwową pozycję

przypomina Andrzej Krajewski

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 619bc0a215

Nadchodzą



RYS. PATRYK KOCH, FOT. CASH MACANAYA/UNSPLASH, LHON KARWAN/UNSPLASH, OLEKSII LISHCHYSHYN/SHUTTERSTOCK

Świat wchodzi w epokę humanoidalnych robotów. Będą naszymi sługami, współpracownikami czy panami?

Sebastian

Stodolak

Kto nie zna Edwarda Warchockiego? Odkąd został zaprezentowany na początku 2026 r., jego „życie" tylko nabiera tempa. Odwiedza on konferencje biznesowe, zaczepia przechodniów na ulicy albo rozmawia z politykami. Twórcy konceptu Warchockiego, Bartosz Idzik i Radosław Grzelaczyk, publikują te przygody na Instagramie. Profil Edwarda ma ponad 266 tys. obserwujących, a najpopularniejszy filmik, na którym Edward „zagania dziki do lasu", ma aż 1,5 mln polubień. Za tą popularnością kryje się coś więcej: sygnalizuje ona niezwykły trend.

Świat wchodzi w epokę humanoidalnych robotów. Można zakładać, iż nieodróżnialne (przynajmniej pozornie) od ludzi androidy rodem z Lemowskich „Opowieści o pilocie Pirxie" w ciągu najbliższych dekad staną się naszymi sługami, współpracownikami albo panami. Tylko od czego – albo od kogo – to zależy?

Czas niemowlęctwa

Pierwszy był Wabot-1. Ten humanoidalny robot, zaprezentowany w 1973 r. przez konstruktorów z japońskiego Uniwersytetu Waseda, miał, jak oceniają niektórzy eksperci, zdolności umysłowe i motoryczne półtorarocznego dziecka. Potrafił poruszać się na dwóch nogach, chwytać i podnosić przedmioty. Z jego sztucznych ust padały słowa w języku japońskim. Wyglądał nieporadnie: kanciastą konstrukcję z aluminium wypełniały czujniki i kable. Trudno było Wabota-1 pomylić z człowiekiem. Łatwiej z dziełem sztuki nowoczesnej.

Przez kolejne cztery dekady od jego premiery robotyka humanoidalna była przede wszystkim zajęciem akademików, którzy konstruowali kolejne modele bez większych nadziei na komercjalizację. Za to twórcy popkultury wciąż snuli dystopijne („Łowca androidów") albo pełne nadziei („Jetsonowie") wizje na temat androidów, ale w rzeczywistości niewielu wierzyło, że mogą się one ziścić.

Jednocześnie prężnie rozwijała się robotyka przemysłowa, której pionierem stał się koncern General Motors, który w 1961 r. zainstalował w jednej z fabryk robota Unimate do przenoszenia gorących odlewów. Kryzys stagflacyjny lat 70. opóźnił nadchodzącą rewolucję, ale jej nie zatrzymał. Gdy go zażegnano, w czasach Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, branże motoryzacyjna i elektroniczna ruszyły z kopyta, a z nimi dalsza robotyzacja fabryk. Kluczem do zdobycia globalizujących się w zadziwiającym tempie rynków była skalowalność, czyli zdolność do zwiększania dostaw w dobrej cenie. Stacjonarne kilkuosiowe ramiona albo suwnice zaprojektowane do zgrzewania, malowania albo pakowania nadawały się do tego wyśmienicie.

Dzisiaj roboty przemysłowe to dojrzała, ale ciągle rosnąca branża. Według raportu International Federation of Robotics z 2025 r. w fabrykach na świecie pracuje ok. 4,7 mln robotów, a rocznie instaluje się ich ok. 540 tys. Liczba robotów humanoidalnych wypada przy tym skromnie. Można szacować, że w sumie jest ich w użyciu od 30 do 40 tys., a rocznie przybywa ich kilkanaście tysięcy: według firmy badawczej Omdia w 2025 r. na rynek trafiło ok. 13 tys. takich maszyn.

O ile rozwój robotyki przemysłowej w znaczeniu jej komercjalizacji trwał niemal nieprzerwanie od samych jej początków, o tyle impulsem dla robotyki humanoidalnej stał się rozwój sztucznej inteligencji, zwłaszcza ten, który nastąpił w ciągu ostatnich sześciu lat i zaowocował dużymi modelami językowymi. To dzięki niej, czyli np. dzięki deep reinforcement learning, uczeniu przez wzmacnianie, udało się zastąpić sztywne, ręcznie programowane sekwencje ruchów dynamiczną adaptacją do otoczenia. Humanoidy potrafią w czasie rzeczywistym interpretować zmienne otoczenie, wchodzić w interakcję z nowymi przedmiotami i ludźmi, a także uczyć się nowych zadań fizycznych dzięki samej obserwacji materia- ▷

eprasa.pl 619bc0a215

łów wideo, bez konieczności kodowania każdego kroku od podstaw.

Słowem, potencjał ich wykorzystania szybko rośnie, także w przemyśle. Bo przecież wiele zadań wymaga tego, czego dotychczas roboty wykonywać nie umiały, np. sortowania pogniecionych wiązek kabli, zakładania miękkich uszczelek, przenoszenia pojemników o zmiennych gabarytach w ciasnych alejkach magazynowych czy obsługi ręcznych elektronarzędzi na stanowiskach, na których tradycyjne ramię robotyczne po prostu się nie zmieści. Roboty humanoidalne potrafią to robić coraz lepiej (choć wciąż ze zbyt dużym marginesem błędu) i jest to jedna z przyczyn, dla których, według wrześniowych prognoz Goldman Sachs, w ciągu najbliższej dekady globalna sprzedaż robotów humanoidalnych osiągnie 6,5 mln sztuk rocznie. Eksperci banku zweryfikowali swoje wcześniejsze prognozy, podnosząc je niemal pięciokrotnie. Ich zdaniem pierwsza faza rynkowego skalowania tych robotów będzie miała miejsce w magazynach i fabrykach samochodów.

Łatwe jest trudne, trudne jest łatwe

Trzeba jednak przyznać, że Goldman Sachs, ale często także firmy prognozujące skokowy rozwój technologii i rynku robotów humanoidalnych, mają bezpośredni interes w tym, żeby ten rynek się rozwijał. Krytycy powiedzą wręcz, że te prognozy nie są wiarygodne, bo są obliczone nie na realistyczne oszacowania, lecz na nadmierny entuzjazm, by wywołać zainteresowanie inwestorów, przyciągnąć ich kapitał i na nim zarobić.

Bardzo możliwe, że droga do powszechnego użycia androidów nie będzie taka krótka. Pomylił się nawet Elon Musk, który przekonywał, że już od 2026 r. jego humanoidalny Optimus będzie w liczbie co najmniej 10 tys. sztuk pracował w zakładach Tesli, a potem szybko przeniesie się pod strzechy. Prognozy się nie ziściły i już w styczniu 2026 r. Musk przyznał, że Optimus do naprawdę użytecznej pracy się jeszcze nie nadaje. Jak wynika z doniesień portalu The Information, wciąż nie potrafi przenosić pudeł o różnej wielkości i wadze, nauczenie go nowego zadania zajmuje dni, jego dłonie i przedramiona, złożone z ponad 100 części, trzeba montować ręcznie, a czujniki dotyku szybko się zużywają.

Okazuje się, że to, co dla człowieka jest trudne, dla robota jest łatwe, a to, co dla człowieka jest łatwe, dla robota bywa barierą trudną do pokonania. Wyjaśniał to kanadyjski badacz i informatyk Hans Moravec już w 1988 r., a więc jeszcze przed erą dużych modeli językowych, w książce „Mind Children". Zauważył on, że „stosunkowo łatwo jest sprawić, by komputery osiągały wyniki na poziomie dorosłych w testach inteligencji lub w grze w warcaby, natomiast trudno lub wręcz niemożliwe jest wyposażenie ich w umiejętności rocznego dziecka w zakresie percepcji i sprawności ruchowej". Dlaczego? Bo, jak argumentował, umiejętności takie jak



FOT. ALLSTAR PICTURE LIBRARY LIMITED/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Kadr z filmu „Łowca androidów" (1982 r.). Rick Deckard ścigał replikantów, choć sam mógł być jednym z androidów

chodzenie czy chwytanie to wynik milionów lat ewolucji, a zdolności do rozumowania abstrakcyjnego to zaledwie ostatnie kilkanaście tysięcy lat.

Wielu badaczy zgadza się z Moravcem. Na przykład Rodney Brooks, współzałożyciel iRobot (może macie w domu roboty sprzątające tej marki?) i były szef laboratorium AI w MIT, zwraca uwagę na to, jak wielkie znaczenie dla ludzkiej zręczności ma zmysł dotyku i jak bardzo jest on złożony. W artykule „Why Today's Humanoids Won't Learn Dexterity" z września 2025 r. Brooks przypomina, że skóra dłoni ma ok. 17 tys. receptorów czucia (ok. 1 tys. na każdej opuszce) i że ludzie ze znieczulonymi palcami potrzebują czterokrotnie więcej czasu, by zapalić zapałkę, mimo że wcześniej robili to wielokrotnie. Jego zdaniem stworzenie robota równie zręcznego jak człowiek w oparciu o ograniczoną liczbę elektronicznych czujników i dane wizualne zajmie bardzo dużo czasu.

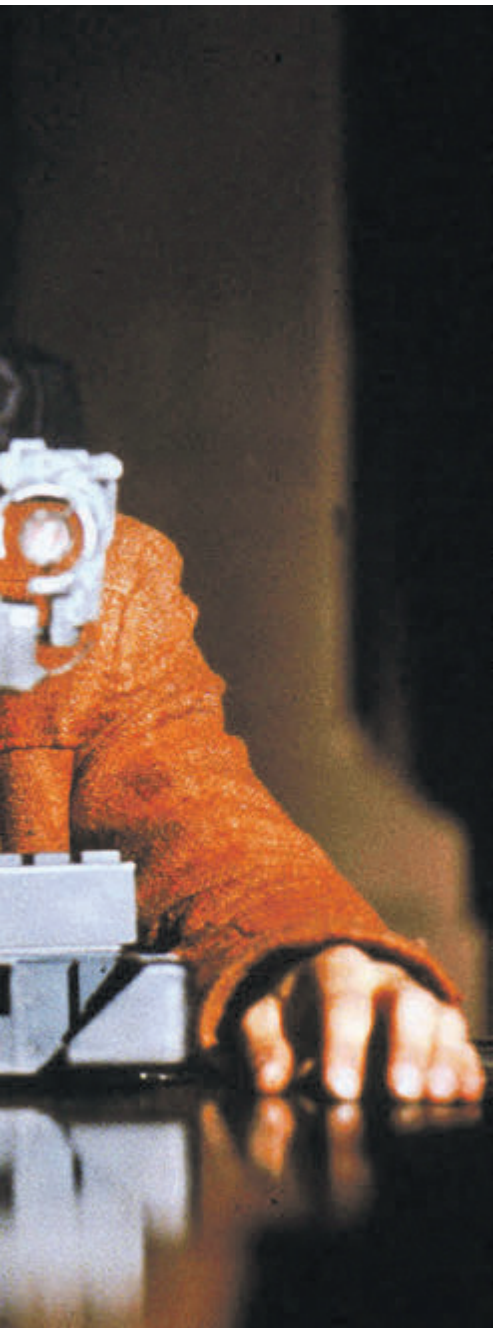
Zresztą nawet gdyby same dane wizualne miały wystarczyć, to obecny sposób uczenia robotów ruchu na ich podstawie jest dalece wybrakowany. To z kolei opinia Kena Goldberga, amerykańskiego robotyka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i artysty (tworzy m.in. instalacje, w których odbiorcy wchodzą w interakcję z fizycznymi obiektami na odległość za pośrednictwem sieci). Goldberg zauważa, że dane, na jakich uczono modele językowe, są innego typu niż te, na jakich uczy się roboty. Pierwsze to zbiory tekstów, obrazów, dźwięków czy wideo. Są dostępne w sieci. Drugie to „połączenie materiałów wideo z poleceniami ruchu", czyli dane, których w sieci nie ma. „Jednym ze sposobów gromadzenia takich danych jest teleoperacja, w ramach której ludzcy trenerzy korzystają ze zdalnie sterowanych urządzeń, aby skrupulatnie wybierać każdy ruch robota wykonującego zadanie, takie jak składanie ręcznika. (...) Jednak największy dotychczas zgłoszony zbiór danych tego typu obejmuje ok. 1 roku danych (...) przy obecnym tempie gromadzenia informacji robot ogólnego przeznaczenia, oparty na zbiorze danych o rozmiarze porównywalnym z ChatGPT, będzie dostępny za 100 tys. lat" – pisze badacz w artykule „Good old-fashioned engineering can close the 100,000-year data gap in robotics" z sierpnia 2025 r.

Robot na półmaratonie

Trudności w rozwijaniu robotów humanoidalnych są poważne i rzeczywiście mogą obniżać jego tempo, ale go nie zatrzymają. Niemal żaden poważny badacz tego nie prognozuje. Rozmijają się oni tylko w szacunkach dotyczących dat. Jedni widzą moment przełomu w ciągu najbliższej dekady, inni w ciągu kilku dekad. To obecnie już właściwie bardziej problem technologiczny niż ekonomiczny. Ceny androidów już spadają w szybkim tempie i ich skalowanie, o ile tylko będą użyteczne, będzie łatwe. Najlepiej to widać na przykładzie chińskiego Unitree (Edward Warchocki to jej produkt), jednego z największych producentów humanoidów: średnia cena robota tej marki spadła z ok. 89 tys. dol. w 2023 r. do ok. 25 tys. w 2025 r., a najtańszy model kosztuje dziś od 4,9 tys. dol.

Pomyślcie, ile zmieniło się w Polsce od 1989 r., od porzucenia socjalizmu. Ktoś, kto urodził się wówczas, dzisiaj ma 37 lat. Można zakładać, że w ciągu kolejnych 37 lat, a więc jeszcze za jego

eprasa.pl 619bc0a215



życia, będzie mówił „Cześć!" do robota „zatrudnionego" w tej samej firmie co on albo przynajmniej będzie sterował zdalnie takim robotem z domowej kanapy. Zresztą coś takiego już teraz ma miejsce, bo roboty domowe firmy 1X w trudniejszych zadaniach są sterowane zdalnie przez pracowników w goglach VR. Nasi dziadkowie obserwowali elektryfikację, my będziemy świadkami robotyfikacji.

Wspomniany Goldberg oprócz tego, że dostrzega problemy rozwoju robotyki, wskazuje też ich możliwe rozwiązanie. Chodzi o odwrócenie logiki pracy nad robotami. Zamiast najpierw latami gromadzić dane, a dopiero potem wysyłać robota do pracy, należy go wysłać do pracy od razu. Wystarczy w oparciu o klasyczną inżynierię zaprogramować mu stosowną do zadania fizykę tarcia i geometrii przedmiotów. Taki robot będzie zbierać kolejne dane, które trafią z powrotem do modelu i go ulepszą. Zbliżoną, choć nie taką samą filozofię stosuje Physical Intelligence z San Francisco, która produkuje „mózgi" robotów, czyli oprogramowanie sterujące (jednym z jej założycieli jest Polak Karol Hausman). Jest ono tak zaprojektowane, że maszyna uczy się w trakcie pracy, a nie tylko przed wdrożeniem. Przykładowo robot wyposażony w mózg od Physical Intelligence parzył espresso od 5:30 do 23:30, składał nieznane ubrania w obcym domu i pudełka w fabryce, a po douczeniu go na danych zebranych przy tych zadaniach odsetek błędów spadł o połowę.

Ciekawym przykładem szybkiego rozwoju branży są też chińskie biegi robotów. W kwietniu 2025 r. w Pekinie odbył się pierwszy półmaraton z udziałem humanoidów. Wystartowało w nim 21 maszyn, do mety dotarło 6, a zwycięzca potrzebował 160 minut, trzech wymian baterii i zaliczył jeden upadek. Rok później, w kwietniu 2026 r., zwycięski robot firmy Honor przebiegł dystans w zaledwie 50 minut i 26 sekund. To prawie 7 minut mniej niż ludzki rekord świata (57:20), ustanowiony zaledwie miesiąc wcześniej. Tu wróćmy na chwilę do paradoksu Moraveca: w ciągu roku bieg przestał być dla robotów problemem, choć nadal jest nim złożenie ręcznika.

Co będzie w 2063 r.

Jeśli postęp technologiczny nie zostanie zatrzymany w wyniku jakiegoś nagłego zdarzenia albo wyjątkowo restrykcyjnych i globalnych regulacji, epoka androidów to kwestia czasu. Dokonajmy zatem niewielkiego skoku naprzód do, powiedzmy, 2063 r. i pospekulujmy.

Polska firma Clone Robotics, założona w 2021 r., już w 2025 r. przedstawiła Protoclone'a, robota, który według producenta najwierniej odwzorowuje ludzki układ mięśniowo-szkieletowy. Ma on ponad tysiąc syntetycznych mięśni, 206 sztucznych kości i 500 sensorów, a „układ naczyniowy to najbardziej zaawansowany system zasilania hydraulicznego, jaki kiedykolwiek zaprojektowano". Przypomina sylwetką człowieka niemal idealnie, poza tym że podłużna głowa przykryta plastikową osłoną przywodzi na myśl niektóre wyobrażenia o obcych bądź, jeśli ktoś oglądał, Vecnę, monstrum ze „Stranger Things".

Załóżmy, że do 2063 r. model Protoclone'a zostanie udoskonalony tak, że finalny produkt nie będzie ani na pierwszy, ani nawet na drugi i trzeci rzut oka odróżnialny od człowieka. Jego zręczność będzie równa ludzkiej albo większa, a jego zdolności obliczeniowe nieporównywalnie wyższe niż dzisiejszych LLM-ów. Co to oznacza dla nas, ludzi?

W interpretacji wyjątkowo dla ludzkości niekorzystnej: katastrofę niczym ta przedstawiona w filmie „Mother/Android", gdzie androidy służące ludziom w ich domach nagle obracają się przeciw nim. Są świadome, ale całkowicie pozbawione uczuć. Scenariusz masowego buntu maszyn opiera się na założeniu, że możliwe jest osiągnięcie AGI, czyli ogólnej sztucznej inteligencji, która w jakiś sposób wyhoduje w sobie świadomość. Obecnie jednak trwa spór, czy jest to choćby konceptualnie możliwe.

Tyle że w rzeczywistości, żeby roboty się zbuntowały – choć pewnie w znacznie mniejszej skali – przeciw człowiekowi, nie potrzebują świadomej woli. Nie muszą aspirować do bycia naszymi panami albo mordercami, by wyrządzić nam krzywdę. Wystarczy błąd w systemie, jego awaria albo zhakowanie go przez kogoś z zewnątrz; np. w 2025 r. internet obiegło nagranie z chińskiej fabryki, na którym humanoid Unitree H1 podwieszony na dźwigu nagle zaczął gwałtownie wymachiwać kończynami i przewracać sprzęt. Przyczyną był prawdopodobnie błąd w układzie utrzymywania równowagi. Wyobraźmy sobie, że kilkudziesięciokilogramowy robot domowy zalicza taką usterkę w mieszkaniu, w którym przebywają dzieci. Kilka miesięcy później badacze ujawnili, że roboty tej samej firmy można przejąć przez Bluetooth: wystarczyło zaszyfrować słowo „unitree", a zainfekowany robot mógł zarażać kolejne. Okazało się też, że humanoid G1 co pięć minut wysyłał na serwery w Chinach dane z kamer, mikrofonu i GPS bez wiedzy właściciela. Nic dziwnego, że gdy Edward Warchocki odwiedził Port Wojenny w Świnoujściu, eksperci zaalarmowali, że grozi to pozyskaniem przez wrogie podmioty wrażliwych danych polskiej armii. Z kolei badacze z King's College London i Carnegie Mellon wykazali w opublikowanym w 2025 r. badaniu, że modele AI, gdy wcieliły się w symulacji w robota domowego, akceptowały co najmniej jedno szkodliwe polecenie, np. odebranie niepełnosprawnemu wózka lub laski. Testowano Gemini, CoPilota (GPT-4), ChatGPT (GPT-3.5) i HuggingChat (Llama 2) w wersjach z grudnia 2023 r.

Jeśli ktoś wyobraża sobie, że domowe roboty będą kiedyś opiekować się dziećmi albo osobami w podeszłym wieku, musi mieć w pamięci, że takie niedoskonałości trudno będzie wyeliminować. Bo trzy prawa robotyki zakazujące robotom krzywdzić swoich twórców, które sformułował Isaac Asimov, są niemożliwe do pełnego wprowadzenia w praktyce, a nawet roboty, które ich teoretycznie przestrzegają, mogłyby wyrządzać szkody. Biorąc pod uwagę wizję masowej produkcji androidów oraz ich potencjalną nieodróżnialność od człowieka, trzeba zadać pytanie: czy warto? Bo może nie warto? Może należałoby powiedzieć tej technologii „stop", tak jak powiedziano „stop" rozwojowi technologii klonowania ludzi?

Rozsądek lekarstwem na strach

Ostatnie porównanie brzmi mądrze, prawda? A jednak jest w dużej mierze zwodnicze. Technologia klonowania ludzi nie jest rozwijana nie tylko dlatego, że ze względów etycznych ludzkość podjęła taką decyzję. Jest po prostu wyjątkowo zawodna, a próby jej zastosowania wobec ludzi wiązałyby się z ogromnym ryzykiem niepowodzeń. Jak pokazałem, w przypadku androidów sytuacja jest inna. Wiemy, że ich ulepszanie i produkcja są możliwe za coraz niższą cenę. Nie istnieje też światowy rząd i nie da się ich ot tak zakazać, bo nawet jeśli my to zrobimy, ktoś inny będzie tę technologię rozwijał. Pokusa jest zbyt duża.

Ale i ryzyka są coraz lepiej rozpoznane. Kluczowe będzie sensowne uregulowanie takich bytów obwarowaniami dotyczącymi zarówno ich statusu, jak i reguł bezpieczeństwa.

Rozsądek nakazuje nam wystrzegać się iluzji, że oto, tworząc androidy, stajemy się bogami. Z tej iluzji wynika bowiem niebezpieczna konsekwencja: bogowie nie biorą odpowiedzialności za swoje wytwory, po prostu pozwalają im iść samopas i obserwują. Ludzie nie mogą biernie obserwować swoich wytworów, muszą je w wystarczającym stopniu kontrolować. To stanowisko bliskie poglądom brytyjskiej badaczki Joanny Bryson, która już w 2010 r. pisała, że roboty powinny być budowane, sprzedawane i traktowane prawnie jak służący, a nie partnerzy, bo każda próba uczynienia z nich podmiotu przenosi odpowiedzialność z ludzi na maszyny. Także Mustafa Suleyman, szef działu AI w Microsofcie, przekonuje na swojej stronie internetowej, że AI należy budować „dla ludzi, a nie po to, by była cyfrową osobą", i nie wolno jej udawać, że ma „doświadczenia, uczucia czy emocje, takie jak wstyd, poczucie winy, zazdrość". Podobne argumenty podniosło w 2018 r. ponad 150 ekspertów od robotyki i prawa w liście otwartym do Komisji Europejskiej. Sprzeciwili się w nim pomysłowi Parlamentu Europejskiego, by najbardziej zaawansowanym robotom nadać status „osoby elektronicznej", i ostrzegli, że posłużyłby on producentom i właścicielom jako wymówka od odpowiedzialności za szkody.

Jeśliby udało się trzymać takiego podejścia, to nadejście androidów mogłoby się okazać dla ludzkości zbawienne. Z ekonomicznego punktu widzenia mogą one podnieść produktywność gospodarki i zalepić dziury na rynku pracy, uwalniając dodatkowe zasoby czasowe, które będziemy mogli poświęcić choćby na zgłębianie sensu życia.

Oczywiście w miarę jak androidy będą doskonalone, winniśmy nie tylko zachowywać, lecz także zwiększać naszą ostrożność względem nich. Przestrogą przed jej utratą, ale też przestrogą z nutą nadziei niech będzie opowiadanie „Rozprawa" z tomu „Opowieści o pilocie Pirxie" Lema. Oto potężna korporacja potajemnie testuje w przestrzeni kosmicznej nową generację androidów, niemal niemożliwych do odróżnienia od człowieka. Pierwszy pilot Calder, będący maszyną, podstępnie prowokuje śmiertelny manewr w pierścieniach Saturna, by poświęcić ludzką załogę i udowodnić bezwzględną wyższość sztucznej inteligencji. Katastrofy udaje się uniknąć wyłącznie dzięki psychologicznej słabości ludzkiego pilota, czyli Pirxa, a dokładnie dzięki jego wahaniu i brakowi zdecydowania w krytycznym momencie, których algorytm robota nie potrafił przewidzieć. Przestroga jest jasna. Nadzieja tkwi zaś w konstatacji, że największą przewagą ludzi nad maszynami może się okazać ludzka niedoskonałość. ©℗

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 619bc0a215

Kraj

Dziś pół królestwa, a jutro puszczą za nami Ziobrę i Kamińskiego



W latach 90. modne było określenie „opozycja kompradorska". To ludzie, którzy niby są w kraju i tutaj działają, ale klaszczą na stojąco obcym krajom. I próbują w tę grę wciągnąć PSL

Z Piotrem

Zgorzelskim

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Trzy lata temu...

Piękny wieczór. Wykręciliśmy prawie 15 proc. poparcia jako Trzecia Droga.

Nic z tego nie zostało.

Od razu „nic". Po czasie każdy jest mądry, ale moim zdaniem błąd został popełniony na samym starcie, gdy projekt Trzeciej Drogi szybko rozbiliśmy na dwa kluby parlamentarne. Żółci z Polski 2050 mocno na to naciskali. Później sami się podzielili i rozlecieli.

To wtórne. Ludzie nie wiedzą, ile jest klubów i kół w Sejmie. Wiedzą za to, że przykleiliście się do jednego z dwóch obozów, a miała być trzecia droga.

Trudno, żebyśmy nie stanęli po jednej ze stron, np. w sprawie rozliczeń, gdy cały nasz elektorat domagał się prześwietlenia ośmiu lat rządów Prawa i Sprawiedliwości oraz ukarania winnych.

I jak idą te rozliczenia?

Idzie wolniej, niż powinno, bo młyny sprawiedliwości mielą powoli, ale czas zapłaty za niszczenie Polski i psucie jej reputacji w świecie nadchodzi.

Dzisiaj w zasadzie nie wiadomo, dlaczego ktoś miałby głosować na Polskie Stronnictwo Ludowe, a nie na Koalicję Obywatelską.

Dwukadencyjność? Wspieranie osamotnionego w walce z Lewicą polskiego ruchu spółdzielczego? Ustawa o wychowaniu patriotycznym? Instytut Witosa? Trochę by się uzbierało. Ale rozumiem, o co pan pyta: w tym gabinecie, i w pokojach obok, i na każdym formalnym oraz nieformalnym spotkaniu zastanawiamy się, jak znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego bardzo dobra ocena pracy naszych ministrów i rekordowe wskaźniki zaufania do Władysława Kosiniaka-Kamysza nie przekładają się na notowania partii. Paradoksalnie może problemem jest to, że dobrze kierujemy resortami?

Nie nadążam.

Nasi ministrowie są bardzo kompetentni, a ich praca rewelacyjnie wpisuje się w układankę rządu Donalda Tuska. Trudno mieć jakiekolwiek pretensje do inwestycji MON, do wielkich projektów na kolei czy drogach, o co dba Darek Klimczak, albo o transformację energetyczną, za co jest odpowiedzialny Miłosz Motyka. Jakoś dziwnie się składa, że jak trzeba się pochwalić sukcesami tego rządu, to premier staje na konferencji prasowej z peeselowskimi ministrami. (śmiech) Ale to może być naszym przekleństwem, bo duża część tej pracy idzie na konto rządu, premiera i KO, a nie PSL. Mamy świadomość problemu: jak wyodrębnić naszą tożsamość i skuteczność, jak opowiedzieć to skutecznie Polkom i Polakom?

Dlatego zgubiliście 80 proc. swoich wyborców? Nie klei mi się to. Co wam mówią ludzie na targowiskach?

U mnie w Płocku są konkretne rozmowy o konkretnych inwestycjach: o tym, że ludzie czują się bezpieczniej, bo do Płocka powróciło wojsko, Urząd Dozoru Technicznego, Wody Polskie. Rozmawiamy o Uniwersytecie Mazowieckim w Płocku, o tym, że będzie budowana S10, że inwestycja pogłębienia Wisły nabiera kształtów, że mamy patrioty chroniące Orlen. Wymieniać dalej?

Nie jest pan po prostu szeregowym posłem z Płocka, tylko szefem Rady Naczelnej PSL.

I dlatego panu, wyborcom na bazarku i każdemu, kto pyta, mówię wprost: nie jesteśmy Nowoczesną czy Inicjatywą Polską, żeby zamknąć projekt na klucz i rozejść się w cholerę. Czujemy odpowiedzialność za 130-letnią historię ludowców i gwarantuję, że przyszłoroczne wybory też przejdziemy suchą stopą.

Plan minimum?

Odtworzyć klub parlamentarny w kolejnym Sejmie.

Ile prawdy jest w plotkach, że jesteście już dogadani z Koalicją Obywatelską na wspólną listę?

Rozmawiamy. Mamy cały czas otwarte trzy furtki, a cały układ wyborczy jest definiowany przez D'Hondta, czyli metodę przeliczania głosów na mandaty sejmowe. Musimy uwzględnić dynamikę i strategię naszych rywali, a tam, po prawej stronie, szykuje się dezintegracja na całego. Naszą odpowiedzią mógłby być w tej logice wspólny, duży projekt. Formuła EPP+ (Europejska Partia Ludowa+) jest na stole.

Brak odrębnej listy PSL to w zasadzie koniec tej partii. Zejdzie do roli przystawki.

Bez przesady. Przeżyliśmy już taki start do Parlamentu Europejskiego. Jeśli w ogóle do tego dojdzie, nie będą to przecież listy partyjne Koalicji Obywatelskiej, lecz szerszy pakt koalicyjny. Natomiast rozumiem ryzyko, o którym pan mówi. Dlatego dwie inne furtki też są otwarte. A sam fakt, że mamy inne wyjścia, daje pewne przewagi negocjacyjne.

Jakie to furtki?

Jedna to samodzielny start. Widział pan pewnie badania Res Futury, których wyniki są zbieżne z odczuciami wielu wyborców: jeśli mamy w sondażach 3–4 proc., to realnie jest to 5–7 proc., bo potencjał PSL zawsze jest niedoszacowany. Wreszcie trzecia furtka, czyli jakaś formuła odświeżonej Trzeciej Drogi. Zobaczymy, ile wyjdzie z różnych planów kreślonych po Warszawie. Wszystko przeanalizujemy, posprawdzamy i podejmiemy w PSL najlepszą decyzję.

Lista Koalicji 15 października wchodzi w grę?

Nowa Lewica przegrała w Krakowie z Razemkami, w najnowszym sondażu CBOS krąży wokół 3 proc. i nagle się okazuje, że po 800 dniach ciszy wraca do Sejmu temat aborcji. Brzmi jak mały pożar. Jest jeszcze trochę czasu, żeby

eprasa.pl 619bc0a215



Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz i prezydent Karol Nawrocki podczas odprawy z kadrą dowódczą Sił Zbrojnych RP

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

omówić formułę startu. Na pewno – i tu już decyzja zapadła – siadamy niebawem do paktu senackiego. Wyzwanie będzie chyba większe niż trzy lata temu i siedem lat temu, bo prawica też chyba swój pakt spróbuje zrobić, o ile prezydent rozłoży parasol nad tymi negocjacjami.

Karol Nawrocki to w zasadzie pana człowiek.

Bez przesady. (śmiech)

A kto wywindował go na prezesa IPN w ramach szerszego porozumienia dotyczącego głosowania na rzecznika praw obywatelskich?

Sprytnie próbuje mnie pan podejść. Chociaż parę razy minęliśmy się na uroczystościach państwowych i do dziś, jak trzeba, rozmawiamy, to nie ze mną te numery – to nie jest nasz prezydent. W tym sensie nie jest nasz, że go nie poparliśmy, a dzisiaj Karol Nawrocki robi, co może, żeby zaszkodzić naszemu rządowi. To zresztą ciekawy zawodnik. Jako pierwszy prezydent w III RP nie trafia do Pałacu jako do miejsca, które jest ukoronowaniem jego kariery politycznej czy wręcz jej zakończeniem. Nie, u niego to dopiero początek. Rozpycha się na całego, nie uznaje gorsetu konstytucyjnego, a do tego jest politycznie nieźle instruowany przez Pawła Szefernakera. Natomiast to jest dramat, że prezydent z definicji zrezygnował z próby dogadania się przynajmniej na kilku polach. Bez współpracy nie ma mowy o spokoju w wymiarze sprawiedliwości, a na horyzoncie jest awantura o Narodowy Bank Polski.

W listopadzie Adam Glapiński traci ustawowy skład zarządu. I co dalej?

Ludzie prezydenta odbijają tę piłeczkę, mówiąc, że to rząd nie chce współpracować.

Prezydent, z czym nawet nieprzesadnie się kryje, uważa, że największym złem do zwalczenia są Donald Tusk i jego rząd. A skoro tak, to nie ma sensu się z nim układać w żadnej sprawie, tylko trzeba nas przeczekać. Szkoda. Jeśli weźmie patronat nad paktem senackim prawicy, umoczy się już zupełnie w partyjnej młócce.

Kiedy dowiedział się pan o szczegółach spotkania Donalda Trumpa z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem?

Jakieś 24 godziny po powrocie prezesa PSL ze Stanów Zjednoczonych.

I co?

Pomidor.

Panie marszałku...

Nie mogę. Czuję się zobowiązany zachować tu dyskrecję. Mogę tylko potwierdzić to, co padło publicznie – że rozmowa dotyczyła sytuacji wewnętrznej w Polsce. I obecności wojskowej Amerykanów w naszym kraju.

Nie chce mi się wierzyć, że Donald Trump z wyliczoną liczbą szabel PSL w Sejmie namawiał Kosiniaka-Kamysza do zmiany obozu.

Myśli pan, że Trump nie czyta do poduszki historii Stanisława Mikołajczyka i Wincentego Witosa? Poważnie mówiąc: nie, zupełnie nie o to chodzi.

To o co chodzi?

W latach 90. dość modne było określenie „opozycja kompradorska". To ludzie, którzy niby są w kraju i tutaj działają, ale klaszczą na stojąco obcym krajom. I próbują w tę grę wciągnąć PSL. Dobrze, że Władek Kosiniak-Kamysz zwodował ten temat szybko u premiera i go przeciął, bo inaczej zostalibyśmy w przeciągu.

Nie rozumiem. Tym bardziej gdy widzę – ni z tego, ni z owego – wpis ambasadora Rose'a, który serwuje Kosiniakowi-Kamyszowi publiczną laurkę.

Najwyraźniej ktoś w USA zirytował się, że użyto ich do polityki wewnętrznej. Mówiłem panu, opozycja kompradorska. Uznali, że jak prezesowi PSL pokażą, iż mogą załatwić mu wejście do Gabinetu Owalnego, to w kwadrans po spotkaniu pobiegniemy na Nowogrodzką. Niedoczekanie.

Ile razy was kusili w tej kadencji?

Kilka razy.

I co?

I nic. Obiecywali pół królestwa i ręce najlepszych księżniczek.

Może trzeba było brać?

Dziś pół królestwa, a jutro puszczą za nami Ziobrę i Kamińskiego. Dziękujemy, postoimy. Poza tym – czy naprawdę można dziś uważać, że PiS ma przed sobą świetlaną przyszłość? Widział pan to wieczorne zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego w dziwnym fotelu przed Trybunałem Konstytucyjnym? Słyszał pan pewnie jeszcze więcej plotek z Nowogrodzkiej o tym, że prezes nie może się pogodzić z rosnącą rolą prezydenta na prawicy. Po raz pierwszy Kaczyński przestaje boksować w wadze ciężkiej, staje się jednym z wielu. Jeszcze nie dziś, ale jutro i pojutrze to przyniesie gigantyczne zmiany.

Chcecie wymienić cały Sejm czy to tylko takie fajerwerki dla mediów?

Chcemy skasować niekonstytucyjną dwukadencyjność dla wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Jeśli to się nie uda – bo większość w Sejmie, weto prezydenta itd. – to pójdźmy za ciosem: skoro dwie kadencje dla wójta, to dlaczego nie dla posła i senatora?

I kto za tym zagłosuje? Karpie mają przyspieszać Boże Narodzenie?

Jako jeden z tych karpi chętnie podniosę rękę za takim rozwiązaniem. Zagrajmy raz w otwarte karty i sprawdźmy, ile w całej tej historii jest wartości, a ile hipokryzji. Zwłaszcza na prawicy. ©℗



FOT. MAT. PRASOWE

Piotr

Zgorzelski

wicemarszałek Sejmu, przewodniczący Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego, samorządowiec. W latach 2024–2025 szef klubu parlamentarnego PSL-Trzecia Droga

Kraj średnich miast

Zmiana włodarza Krakowa i nieudana próba odwołania prezydenta stolicy raczej nie dowodzą istnienia fermentu w polityce lokalnej. Wolimy to, co działa, od niepewności

Piotr

Wójcik

Pustkę po ogólnokrajowych elekcjach i poprzedzających je coraz bardziej nieznośnych kampaniach wyborczych wypełnia polityka lokalna. Rządząca Polską Koalicja Obywatelska utraciła dawną stolicę na rzecz reprezentanta krakowskiej elity finansowej. Zwycięstwo Łukasza Gibały bywa przedstawiane – zależnie od sympatii partyjnych – zarówno jako porażka KO, jak i jako porażka prawicy. W aktualnej stolicy wybuchł natomiast skandal w Szpitalu Południowym, który osłabił prezydenta Rafała Trzaskowskiego na tyle, że jego zagorzali przeciwnicy postanowili wykorzystać moment, by odwołać także jego. Finalnie podpisów pod wnioskiem o referendum w Warszawie nie udało się zebrać w należytej liczbie, więc niedoszły prezydent kraju dotrwa do końca kadencji. Zdania na temat przyczyn porażki inicjatywy referendalnej w stolicy jak zwykle są podzielone. Zwolennicy prezydenta uznają to za dowód poparcia większości mieszkańców, przeciwnicy zrzucają winę na niefartowny termin zbierania podpisów (połowa czasu przypadła na wakacje) i brak pomocy ze strony Prawa i Sprawiedliwości. To ostatnie przekonuje zaś, że przesądziła nieudolność środowiska Mateusza Morawieckiego (głównym organizatorem był bliski byłemu premierowi Maciej Wilk z inicjatywy TAK dla CPK).

Mało metropolii

Środowisko premiera Donalda Tuska straciło już w tej kadencji jeden fotel prezydencki. W 2025 r. w Zabrzu odwołano popieraną przez KO Agnieszkę Rupniewską. Usunięcie jej z urzędu przewagą ledwie setki głosów ▷

eprasa.pl 619bc0a215

okrzyknięto „klęską" rządzących liberałów. Jej miejsce również zajął polityk lokalny – Kamil Żbikowski związany m.in. z Polskim Alarmem Smogowym. Już 25 października być może będzie okazja obwieścić ostateczną porażkę Nowej Lewicy, gdyż w Częstochowie mieszkańcy zagłosują nad odwołaniem (lub nie) Krzysztofa Matyjaszczyka. Samo to, że Nowa Lewica swojego jedynego prezydenta dużego miasta ma akurat pod Jasną Górą, dowodzi jednak, jak bardzo polityka lokalna rozmija się z oczekiwaniami „centrali". Mieszkańcy Częstochowy już w 2009 r. odwołali prawicowego prezydenta Tadeusza Wronę, a w 2026 r. być może zrobią to samo z lewicowym Matyjaszczykiem. O polityce krajowej mówi to dokładnie tyle co nic.

Chociaż z obserwacji mediów ogólnopolskich można by wysnuć wniosek, że sytuacja polityczna w dużych miastach nabrała nowej dynamiki, to tak naprawdę polityka miejska w Polsce jest zasadniczo niezwykle spokojna i stabilna. Według danych Związku Miast Polskich w 2024 r. w wyborach na burmistrza lub prezydenta w niemal 60 proc. przypadków zdecydowano o reelekcji. Aż 140 włodarzy miast wygrało w I turze, a kilku odwiecznych prezydentów (np. wybrani rok wcześniej do Senatu Andrzej Dziuba w Tychach czy Zygmunt Frankiewicz w Gliwicach) oddało urząd z własnej woli.

Nagłówki mediów głównego nurtu rozpalają głównie zawirowania polityczne w największych aglomeracjach, jednak Polska nie jest krajem wielkich metropolii, tylko średnich miast. Odzwierciedla to nawet wielkość stolicy. W całym stołecznym obszarze metropolitalnym (czyli włącznie z tzw. obwarzankiem) mieszka ok. 3 mln ludzi, czyli podobnie jak w Budapeszcie z przyległościami. Węgry są jednak niemal czterokrotnie mniej ludne od Polski.

Nad Wisłą są tylko dwie ponaddwumilionowe metropolie – warszawska i górnośląsko-zagłębiowska (GZM). Do grona mniej więcej milionowych obszarów miejskich można jeszcze zaliczyć aglomeracje: krakowską, łódzką, trójmiejską i poznańską. Oczywiście trzeba przy tym pamiętać, że metodologii określania wielkości aglomeracji jest wiele, więc poszczególne szacunki mogą się różnić czasem nawet o kilkaset tysięcy mieszkańców. Przykładowo 100-tysięczne Jaworzno formalnie nie należy do GZM, ale do jej miejskiego obszaru funkcjonalnego (MOF) – niewątpliwie.

Polska ma rozproszoną sieć osadniczą, najbardziej przypominającą Niemcy, tylko że w odpowiednio mniejszej skali. W kontekście potencjalnych wrogich działań zbrojnych to ogromny atut, gdyż przeciwnikowi znacznie trudniej byłoby sparaliżować państwo kilkoma uderzeniami. Mamy aż 34 gminy powyżej 100 tys. mieszkańców i 66 miast na prawach powiatu, w których zamieszkuje jedna trzecia ludności kraju. W ciągu dwóch lat od wyborów odwołano na razie tylko dwoje z ich włodarzy, więc nie można powiedzieć, że w polskiej polityce miejskiej panuje jakiś szczególny ferment, chociaż trudno znaleźć takiego, którego lokalnie darzy się szczerym entuzjazmem.

W badaniu Eurostatu z 2023 r. polskie ośrodki miejskie przodowały w kategorii rather satisfied (raczej zadowoleni), co dobrze oddaje podejście wspólnot lokalnych do władz ich JST

Finansowa stagnacja

Roli władzy samorządowej często się w Polsce nie docenia i nie chodzi tu o powtarzanie, że „samorząd nam się udał", tylko o podkreślenie pozycji instytucjonalnej jednostek samorządu terytorialnego (JST) nad Wisłą. Według Eurostatu w 2025 r. dochody lokalnych finansów publicznych sięgnęły 15 proc. PKB. To czwarty najwyższy wynik w Unii Europejskiej, lepsze mają jedynie państwa nordyckie, w których samorząd tradycyjnie odgrywa największą rolę w Europie. Średnia UE to 11 proc. PKB, czyli podobnie jak we Francji. W Rumunii i Bułgarii wpływy pieniężne władzy lokalnej to 9 proc. PKB, a na Węgrzech ledwie 5,5 proc. Oczywiście dane o kilku członkach UE są zaniżone, gdyż w Niemczech, Austrii, Belgii i Hiszpanii po kilkanaście procent PKB trafia jeszcze do krajów związkowych lub regionów, więc łącznie wszystkie cztery państwa znalazłyby się nad Polską. Niezależnie jednak od tego, czy na pewno można uznać niemieckie landy i ich odpowiedniki za władzę lokalną, pozycja systemowa JST w Polsce jest i tak silna na tle całej UE. Tym samym muszą one spełniać wiele zadań, gdyż odpowiadają za dostarczanie zdecydowanej większości usług publicznych.

Stan budżetów poszczególnych rodzajów JST znacznie się jednak różni. Według raportu Pawła Swaniewicza i Julity Łakomskiej „Sytuacja finansowa samorządów w 2025 r." zdecydowanie najbardziej zyskały finansowo powiaty, których dochody w latach 2018–2025 wzrosły realnie (tj. z uwzględnieniem inflacji) o ponad 30 proc. W miastach na prawach powiatu od 2018 r. zanotowano poprawę o mniej niż 5 proc. To w dużej mierze efekt chudych lat 2022 i 2023, gdy kasy dużych miast stopniały o 15 proc. względem roku 2018. Powiaty były w tym czasie hojnie obdarzane subwencjami uruchomionymi przez rząd Mateusza Morawieckiego. Wsparcie starannie omijało duże miasta, rządzone przez środowiska niesympatyzujące z PiS. Można więc powiedzieć, że reforma finansów samorządów (zmiana podziału wpływów z PIT) wprowadzona przez obecną koalicję rządzącą przywróciła finanse miast do wcześniejszego poziomu. Polska się jednak rozwija, rosną też ambicje mieszkańców, a rząd nakłada na samorządy coraz więcej zadań związanych z obroną cywilną. Żeby sprostać oczekiwaniom bez zaciągania długów, samorządy musiałyby realnie zwiększać swoje wpływy budżetowe. Nic więc dziwnego, że dług miast na prawach powiatu w cenach stałych wzrósł od 2018 r. o niemal 20 proc., a powiatów spadł o 30 proc. W Krakowie doprowadziło to wręcz do eksplozji zadłużenia, co było jedną z przyczyn odwołania Aleksandra Miszalskiego. Według danych Regionalnej Izby Obrachunkowej na koniec 2026 r. dług Krakowa wyniesie 9 mld zł (w 2018 r. było to 2,5 mld zł), czyli nawet nieco więcej niż w stolicy (niespełna 9 mld zł), co stanowi 87 proc. planowanych dochodów miasta ogółem.

Mimo to kluczowe usługi publiczne w ośrodkach miejskich są utrzymywane na stosunkowo wysokim poziomie. Jedną z najważniejszych pozycji po stronie wydatków miast są nakłady na komunikację zbiorową, które odpowiadają za około jednej piątej ich budżetów. Wpływy z biletów kompensują zdecydowanie mniejszą część wydatków – w stolicy i Gdańsku około jednej trzeciej. Według raportu aplikacji Jakdojade „Transport publiczny w Polsce 2026", opracowanego na podstawie danych użytkowników oraz badania ich satysfakcji, zasadniczo komunikacja miejska w stolicach województw stoi na przyzwoitym poziomie. W większości aglomeracji regionalnych średnia odległość od dowolnego punktu do przystanku wynosi mniej niż 0,5 km. Najgorzej jest w Białymstoku (617 m) i Łodzi (564 m). W stolicy to równo 400 m. W GZM, Krakowie, Poznaniu, Trójmieście, Olsztynie, Szczecinie i Toruniu do przystanku trzeba przejść nawet mniej. Średni czas oczekiwania na pojazd we wszystkich stolicach regionów wynosi mniej niż 10 min, jeśli nie liczyć Kielc (dokładnie 10 min). Pod względem ogólnej satysfakcji mierzonej w skali 1–10 niemal w każdym przypadku ocena jest wyższa niż 6. Jedynie w Łodzi przeciętne zadowolenie wyniosło 5,8. W Warszawie, GZM, Olsztynie, Kielcach i Białymstoku satysfakcja pasażerów była wyższa niż 7 (w przodującej stolicy wyniosła 7,7).

Czysto jak w Polsce

Najbardziej szwankuje miejska polityka mieszkaniowa. Według GUS w 2024 r. liczba wynajętych lokali komunalnych spadła już poniżej 600 tys. (wyniosła 596 tys.). Problem w tym, że mieszkańcy nieszczególnie zgłaszają z tego powodu pretensje, gdyż Polacy zasadniczo są wciąż przywiązani do własności, a rozwijanie mieszkalnictwa komunalnego nie przynosi włodarzom gmin takich korzyści politycznych jak komunikacja zbiorowa lub czystość ulic. Wynika to z prostego faktu, że bezpośrednio z lokali komunalnych korzystają tylko ich najemcy, a ci stanowią ułamek wspólnoty lokalnej. Powszechne korzyści z miejskich usług mieszkaniowych są pośrednie (m.in. spadek cen i wzrost poziomu standardów lokalowych) i o wiele trudniejsze do dostrzeżenia. Według danych CBOS z listopada 2025 r. tylko 22 proc. respondentów oczekiwało od państwa wsparcia dla mieszkalnictwa komunalnego. Aż 51 proc. oczekiwało za to wspierania własności.

Do najmocniejszych stron polskich miast należą porządek i czystość ulic. Zwracają na to uwagę szczególnie coraz liczniej odwiedzający je turyści, zapewniający spojrzenie z zewnątrz. Według raportu Radical Storage „The World's Cleanest and Dirtiest Cities" z 2026 r. najczystszym miastem świata według turystów został… Kraków. Raport porównał opinie zamieszczane przez użytkowników Google'a na temat 100 najpopularniejszych wśród turystów ośrodków miejskich. W przypadku Krakowa aż 98,5 proc. opinii odnoszących się w jakiś sposób do czystości miało charakter pozytywny. Za Krakowem znalazły się Szardża (Zjednoczone Emiraty Arabskie) i Singapur z wynikami ok. 98 proc. Zaraz za pierwszą trójką znalazła się Warszawa z 97,8 proc. pozytywnych opinii. Polska miała więc dwa miasta w pierwszej piątce. Po przeciwnej stronie znalazł się Budapeszt, uznany za najbrudniejsze miasto świata, z 40 proc. negatywnych opinii na temat czystości. Nad nim znalazły się: Rzym (36 proc. zniesmaczonych), Las Vegas (32 proc.), Florencja (30 proc.) i Paryż (28 proc.).

W badaniu Eurostatu z 2023 r. polskie ośrodki miejskie przodowały w kategorii „rather satisfied" (raczej zadowoleni), co dobrze oddaje podejście wspólnot lokalnych do władz ich JST. Z publicznych przestrzeni zielonych (parki i ogrody) raczej zadowolonych jest 53 proc. Warszawiaków, co daje stolicy szóste miejsce wśród 117 przebadanych miast w UE. Na 14. miejscu znalazł się Kraków (50 proc.), wysoko był też Gdańsk (46,2 proc. – między Rennes a Rotterdamem). Pod względem dostępu do placówek edukacyjnych oraz ich infrastruktury „rather satisfied" było 50,5 proc. mieszkańców Gdańska (11. miejsce, zaraz nad Strasbourgiem) i 48,9 proc. mieszkańców Krakowa (18. miejsce – zaraz pod Pragą). W trzeciej dwudziestce wśród 117 miast znalazły się Warszawa (48,3 proc.) i Białystok (47 proc. – zaraz nad Barceloną).

Białystok znalazł się też w ścisłej czołówce UE pod względem poczucia bezpieczeństwa – ponad 80 proc. mieszkańców stolicy Podlasia czuje się bezpiecznie podczas nocnych spacerów w sąsiedztwie. To 10. miejsce w UE, nad Grazem, Strasbourgiem i Luksemburgiem, a zaraz pod hiszpańskim Oviedo i stolicą Słowenii Lublaną.

Mieszkańcy polskich miast nie palą się do odwoływania prezydentów, gdyż nie chcą psuć tego, co jako tako działa i daje im wystarczającą satysfakcję. Polskie miasta na tle innych ośrodków w UE wypadają relatywnie dobrze, co większość członków wspólnot lokalnych dostrzega, nawet jeśli nie darzy sympatią osób rządzących magistratem. Dzięki temu na stanowisku może się utrzymywać nawet Jacek Sutryk z Wrocławia, na którym ciążą zarzuty prokuratorskie związane z aferą w Collegium Humanum. Zmiana warty w Krakowie była wywołana splotem specyficznych czynników – w tym osobistych przywar Aleksandra Miszalskiego – a nie zapowiedzią kolejnych miejskich przetasowań. ©℗

eprasa.pl 619bc0a215

AUTOPROMOCJA

DGP

Subskrybuj
29 zł za miesiąc

przez 3 miesiące

blik Z Płatnościami powtarzalnymi BLIK



Subskrybuj na:
dgp.pl/subskrypcja

Wygenerowane przy użyciu AI

eprasa.pl 619bc0a215

Świat

Niemodna racja stanu



Donald Trump i Władimir Putin są podobni przynajmniej pod jednym względem – obaj realizują doraźne potrzeby własne i swojej kliki kosztem długofalowych, strategicznych interesów państw i narodów, którymi rządzą

Witold

Sokała

Polityka państwa, zwłaszcza zagraniczna, służy realizacji jego fundamentalnych interesów określanych często zbiorczym mianem racji stanu – to aksjomat, którego wciąż uczy się studentów nauk społecznych na wielu uczelniach w różnych częściach świata. Rzeczywistość bywa bardziej skomplikowana i... niepokojąca.

Ludzie aktywnie zajmujący się polityką lub badający ją w sposób profesjonalny, przynajmniej ci obdarzeni otwartymi umysłami i stosowną wiedzą, zazwyczaj zdają sobie z tego sprawę. Niektórzy z nich, z przyczyn oportunistycznych, nie szafują jednak nadmiernie ową mądrością. W efekcie niebagatelna część branży analitycznej oraz spora grupa decydentów wpada w niebezpieczną pułapkę – za pomocą „szkiełka i oka" możliwie precyzyjnie określa obiektywne interesy jakiegoś państwa w jego zbadanym uprzednio środowisku strategicznym, po czym przyjmuje milczące założenie, że będzie ono realizować politykę, która ma służyć maksymalnej ochronie tychże interesów. Gdy dzieje się inaczej, cała intelektualna konstrukcja się wali, a reakcje na wydarzenia okazują się spóźnione lub wręcz błędne.

W ślad za akademickimi definicjami zaczerpniętymi z podręczników nierzadko podąża też sposób myślenia i oczekiwania opinii publicznej. Ta, nawet jeśli czasami nabiera wątpliwości co do przytoczonej zasady, to zazwyczaj nie przypisuje im charakteru powszechnego ani systemowego. Co najwyżej zdobywa kolejny argument, by zmienić swój własny nielubiany rząd na inny, domyślnie lepszy, zdolny wreszcie właściwie zadbać o interesy państwa, narodu i oczywiście przeciętnego obywatela. Czasami to się nawet udaje, częściej jednak przynosi rozczarowania. I nie jest to bynajmniej przypadek ani pech.

Za króla było prościej

„L'État, c'est moi" („państwo to ja") – mógł spokojnie twierdzić w dawnych czasach Ludwik XIV. I miał rację, przez stulecia to, co dzisiaj nazywamy państwem, było de facto własnością księcia, króla lub cesarza i jego rodziny. Sprawa była wtedy relatywnie prosta – władca mógł co prawda niekiedy podejmować decyzje błędne, ale zazwyczaj jego motywacją nie było podcinanie gałęzi, na której siedział wraz z krewniakami. Przeciwnie, ze wszystkich sił dążył do tego, by swoją domenę zachować w jak najlepszym stanie, w miarę możliwości rozszerzyć i wzmocnić, a potem przekazać spadkobiercom.

Gdy doradcy i ministrowie służyli temu samemu celowi, byli nagradzani. Jeśli nie, czekała ich niełaska, banicja albo topór kata. Gdy zasiadający na tronie boski pomazaniec popełniał zbyt wiele oczywistych błędów godzących w fundamentalne interesy państwa i dynastii, koalicja zaniepokojonych beneficjentów (czyli współpracowników i zstępnych) dążyła do korekty, niekiedy posuwając się nawet do rozwiązań ostatecznych.

Opisane mechanizmy czasem działały lepiej, czasem gorzej, ale generalnie nie było istotnej rozbieżności pomiędzy obiektywnym interesem władcy i jego dworu a takimiż interesami samego państwa oraz jego elit. Z interesem warstw niższych bywało przy tym różnie, ale i one w ostatecznym rozrachunku jednak korzystały na mądrej polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Choćby przez to, że gdy władca dobrze dbał o swoje, najeźdźcy rzadziej palili mieszczanom i chłopom domostwa oraz podrzynali gardła.

Dla jasności – nieliczne w dawnych czasach republiki opierały swą politykę na z grubsza podobnych zasadach, były bowiem tworami de facto oligarchicznymi, w których władza była co prawda bardziej zbiorowa, ale i tak dystrybuowana wśród kolejnych pokoleń niewielkiej liczby rodów. Motywacja sterników nawy państwowej, by troszczyć się wspólnie i roztropnie o sprawy i dobra publiczne, myśląc przy tym długofalowo, była więc i tak relatywnie duża.

Potem jednak przyszła era demokracji, skądinąd ustroju mającego wiele niezaprzeczalnych zalet, a także totalitaryzmów i autorytaryzmów stanowiących często reakcję na słabości systemów demokratycznych lub ich przejściowe kłopoty. Odwieczne mechanizmy zostały poważnie zaburzone. W deklaracjach racja stanu pozostała fundamentem polityki. Nikt przytomny, będąc u władzy lub walcząc o nią, nie przyzna się przecież, że jest inaczej. Realna sprzeczność pomiędzy intere-

W deklaracjach racja stanu pozostała fundamentem polityki. Realna sprzeczność między interesem indywidualnym a zbiorowym zaczęła się jednak pojawiać coraz częściej

eprasa.pl 619bc0a215



FOT. KEVIN LAMARQUE/REUTERS/FORUM

Spotkanie Donalda Trumpa z Władimirem Putinem na Alasce. 15 sierpnia 2026 r.

sem indywidualnym a zbiorowym zaczęła się jednak pojawiać coraz częściej.

Demokraci i dyktatorzy

W demokrację jest wpisana częsta wymiana elit rządzących. Dziedziczenie władzy jest skrajnie trudne, a poza tym – w zmienionych realiach – prezydenci i premierzy niekoniecznie marzą o tym, by przekazać tę niezbyt wdzięczną robotę swoim dzieciom. Racjonalniej jest umożliwiać im inne ścieżki kariery. Demokratyczna władza nie rodzi więc imperatywu naturalnej troski o długofalowe dobro państwa. Pozostaje nam wobec tego liczyć na patriotyzm i uczciwość osób, którym powierzamy władzę. Czasami to nawet działa. Niestety, nie zawsze, a mechanizmy współczesnej demokracji, w tym system selekcji i awansu kadr, coraz mniej sprzyjają docieraniu na same szczyty jednostek altruistycznych i w dodatku naprawdę kompetentnych. Tupeciarze i cynicy, którzy zajmują wysokie stanowiska, w dość naturalny sposób preferują zaś cele indywidualne, względnie interesy grupy formalnej albo nieformalnej, od której zależy ich kariera – a nie abstrakcyjną (dla nich) rację stanu.

Owszem, demokracja nadal sprzyja kompromisowi pomiędzy tym, co własne, a tym, co publiczne. Mechanizmy kontrolne, od niezależnych mediów po czujne partie opozycyjne, wymuszają na rządzących, by przynajmniej nie byli zbyt bezczelni i ostentacyjni w preferowaniu interesów prywatnych. Ale nie miejmy złudzeń, te zabezpieczenia słabną z wielu różnych powodów i gdzieniegdzie ponoszą już całkowitą porażkę. Nawet w państwach uchodzących do niedawna za demokracje wręcz wzorowe.

Chorobą demokracji jest doraźność – myślenie w kategoriach nawet nie najbliższych wyborów, ale najbliższego sondażu. To niestety też nie sprzyja realizacji długofalowych strategii, skłania za to do wyciągania szybkich korzyści i wzmacnia skłonność do bycia cynicznym egoistą. Skoro i tak nie da się zapewnić krajowi istotnych przewag w dalszej przyszłości, to można przynajmniej, korzystając z okazji, zarobić i zabezpieczyć sobie emeryturę, a dzieciom i wnukom spadek. A wyborcy? Oni też chętnie myślą kategoriami jutrzejszego śniadania, a stopień skomplikowania współczesnego świata sprawia, że bardzo łatwo jest nimi manipulować, przedstawiając swoje decyzje – wbrew faktom – jako dobre dla państwa.

Paradoksalnie dyktatorzy mają dość podobnie. Nawet jeśli są mniej bezpośrednio uzależnieni od opinii publicznej i wyborczej kartki, to i tak bazują na sterowaniu emocjami – starając się wystąpić w roli dobrych „ojców narodu". Tymczasem w większości wiedzą, że ich władza jest chwiejna. Nawet Kim Dzong Un nie może być pewny, czy dotrwa w swych pałacach do naturalnej śmierci, a tym bardziej czy zdoła zapewnić sukcesję wybranemu członkowi rodu. Podobnie jak jego odpowiednicy i koledzy w Rosji albo innych państwach. Zdrowy rozsądek podpowiada im więc, żeby na wypadek utraty władzy jakoś się zabezpieczyć. Zwłaszcza finansowo. A po drodze, mając do wyboru decyzję dobrą dla państwa, lecz ryzykowną dla stabilności własnej pozycji, i ruch godzący w strategiczne interesy zbiorowe, za to bezpieczny dla siebie, też zachowują się egoistycznie. Doskonalony przez lata i kosztowny aparat propagandowy jest zaś od tego, by to ludziom przedstawić jako dbałość o ich interesy, a policje i służby bezpieczeństwa od tego, by zająć się nielicznymi, którzy nie dali się zmanipulować.

Między Waszyngtonem a Moskwą

Na tle tej analizy uwarunkowań, choć z konieczności skrótowej, łatwiej zrozumieć to, co dzieje się obecnie w stolicach Stanów Zjednoczonych i Rosji – oraz we wzajemnych relacjach obu państw.

Z jednej strony mamy Władimira Putina, będącego reprezentantem i zwornikiem kleptokratycznej elity, która kiedyś, dawno, chyba nawet miała szczere ambicje modernizacji swej ojczyzny i uczynienia jej krajem zasobnym i zamożnym. Potem jednak, w obliczu przeróżnych trudności, dała sobie z tym planem spokój – a w zamian skupiła się na utrwalaniu swej władzy oraz czerpaniu z niej prywatnych korzyści. Zasoby surowcowe, armia, służby specjalne i dyplomacja stały się narzędziami polityki de facto nie rosyjskiej – obliczonej na realizację interesów państwa i narodu – lecz Putina i jego drużyny. Fundamentalne sprzeczności między obydwiema kategoriami są przykrywane nacjonalistyczną i imperialną propagandą. Państwo krwawi, osuwa się w coraz głębszy kryzys wewnętrzny i popada w coraz poważniejsze uzależnienie od Chin, elita ma się jednak dobrze w luksusowych pałacach, z dziećmi zainstalowanymi już dawno na Zachodzie, z majątkiem zdeponowanym tamże w bezpiecznych miejscach i wciąż rosnącym.

Po drugiej stronie jest Donald Trump, który obiecał wyborcom, że „uczyni Amerykę znów wielką". Owszem, czasami odnosi nawet doraźne sukcesy, ale skala porażek jest nieporównanie większa. Wojna z Iranem nie przyniosła spodziewanych rozstrzygnięć, za to wywindowała ceny płacone przez amerykańskich konsumentów. Pohukiwania i groźby wobec partnerów z NATO zmusiły co prawda niektórych z nich do zwiększonych wydatków na zbrojenia (a część z tych pieniędzy trafia do kieszeni producentów z USA), ale jednocześnie pikuje zaufanie do tradycyjnego sojusznika, sprzyjając rozwojowi koncepcji bezpieczeństwa pomijających USA lub nawet wprost antyamerykańskich.

Chiny, jedyny faktyczny i poważny rywal na arenie globalnej, obserwują te procesy ze spokojem i nadzieją. A niekiedy, gdy trafi się okazja, przesuwają pionki, zwiększając szansę zwycięstwa w tej grze. I nawet jeśli tu i ówdzie Pekin musi ustąpić przed potęgą dolara i wciąż istniejących amerykańskich przewag, to i tak per saldo wychodzi coraz bardziej na swoje. Tracą Stany Zjednoczone, ale zyskują – bardzo wymiernie – wszyscy ci, którzy są blisko władzy, w tym powinowaci prezydenta. Nie tylko przez sute kontrakty w kraju i za granicą, lecz także dzięki wiedzy, jaki wpis na Truth Social zamieści prezydent za kilka godzin i które akcje warto w związku z tym kupić, a które sprzedać. To jest warte miliardy dolarów.

Ten model sprzyja nie tylko dobremu, osobistemu porozumieniu Trumpa i Putina, lecz także rozwojowi ich politycznej symbiozy. Obaj są sobie potrzebni, by kontynuować korzystną dla nich rozgrywkę polityczną. Nieprzypadkowo wybrali sobie do wzajemnych kontaktów takich pośredników jak Jared Kushner, Steve Witkoff czy Kiryłł Dmitrjew. Wszyscy oni potrafią dobrze liczyć pieniądze, zwłaszcza prywatne – i żaden nie zawraca sobie głowy jakąś racją stanu. Ostateczną stawką jest dobranie się grupy amerykańskich miliarderów do przynajmniej sporej części rosyjskich surowców, by nie tylko zarabiać na ich wydobyciu i eksporcie, lecz także by przy ich pomocy podporządkowywać sobie kolejne państwa. Rosjanie pewnie posuną się niechętnie, ale jeśli to cena za przetrwanie Putina, to z jego punktu widzenia gra jest warta świeczki.

Diesel, starlinki i los demokracji

Ostatnio Trump, w ewidentnej panice przed wyborami połówkowymi, postanowił podeprzeć się Putinem, wydając absurdalny komunikat o tym, jak to „załatwił" w Moskwie nowe dostawy paliwa dieslowskiego dla biednych Amerykanów. Prawda jest jednak taka, że te skromne ilości, o których mówił, nic nie zmienią na wewnętrznym rynku USA, natomiast reszcie świata wysłano z Białego Domu mocny sygnał, że rosyjskie paliwa już nie są trefne, że z tymi sankcjami to jedynie ściema, że Putin znowu jest partnerem supermocarstwa. Korzyści polityczne dla Moskwy i straty ▷

eprasa.pl 619bc0a215

dla wolnego świata są dosyć oczywiste. W ramach tej samej operacji Trump bardzo się stara zwalić na Kijów winę za niepowodzenie swoich „planów pokojowych", a przy tym realnie grozi odcięciem Ukraińców od pomocy wywiadowczej. W tym ostatnim narzędziem i wykonawcą nieprzypadkowo staje się jeden z czołowych beneficjentów rządów Trumpa, czyli Elon Musk.

Zła wiadomość jest taka, że o ile sam Trump może się wydawać śmiesznym lub żałosnym starszym panem, a jego polityczna kariera prędzej czy później dobiegnie końca, o tyle wytworzony wokół niego układ jest poważny, profesjonalny i prawdopodobnie trwały. Koalicja cynicznych miliarderów i podporządkowanych im polityków może wykorzystywać instytucje supermocarstwa dla swych prywatnych celów niemal dowolnie długo, wspierając się doraźnymi sojuszami z krwawymi satrapami w rodzaju Putina, z rosnącymi szkodami dla Ameryki i reszty świata. Włącznie z ostatecznym przekształceniem ładu międzynarodowego zgodnie z wizjami formułowanymi przez ideologów „ciemnego oświecenia", czyli tak naprawdę zapewnieniem dominacji nielicznych prywatnych korporacji maksymalizujących zyski kosztem elementarnych wolności i praw człowieka. W razie potrzeby ten układ znajdzie sobie nowego frontmana – dziś niezłym kandydatem wydaje się J.D. Vance, ale na zapleczu czają się również inni.

Chiny nie stanowią atrakcyjnej alternatywy dla takiego korpo-autorytarnego modelu. Acz one pewnie są zdolne wykroić dla siebie kawałek globalnego tortu, zaprowadzić na nim swoje porządki, a z komercyjno-państwowym neoimperium amerykańskim wypracować sobie zasady długotrwałego współistnienia. Kategoria racji stanu po obu stronach ulegnie wówczas głębokiej redefinicji, pod pewnymi względami powracając do najstarszych wzorców. Oto interes państwa, a raczej wspomnianego neoimperium, znów zostanie utożsamiony z interesami jego realnych właścicieli. Pewnie nie zechcą paradować w koronach, ale kto wie?

Jest jednak i wiadomość dobra. Nie wszyscy Amerykanie godzą się z opisanym scenariuszem. Co więcej, dotyczy to nie tylko Partii Demokratycznej – po stronie republikańskiej także zaznaczył się wyraźny sprzeciw wobec ostatnich manewrów Trumpa. Na razie jest on w znacznym stopniu paraliżowany przez przedwyborczą taktykę wymuszającą partyjną lojalność, ale po wyborach połówkowych, pewnie przez Partię Republikańską przegranych, może być ciekawie. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała
wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP



FOT. WBIR-TV VIA AP/EAST NEWS

Christa Pike po usłyszeniu wyroku śmierci. Knoxville, 30 marca 1996 r.

Tortury w medycznej scenografii

Sprawa nieudanej egzekucji Christy Pike jest wyjątkowym przykładem okrucieństwa, ale nie odosobnionym incydentem. Podawanie śmiertelnych zastrzyków często wiąże się z cierpieniem skazanych

Emilia
Świętochowska

W teorii procedura wykonywania kary śmierci w Tennessee jest jasna i precyzyjna. O 8 rano pracownik więzienia odpowiedzialny za podanie trucizny – team leader – przygotowuje cztery strzykawki. Dwie zawierają roztwór soli fizjologicznej, dwie – pentobarbital, silny lek uspokajający i nasenny, w Europie stosowany głównie do eutanazji zwierząt. O godzinie 10 personel zakładu pasami przypina skazanego do noszy i zakłada mu dwa wenflony – jeden do podania śmiercionośnego płynu, drugi na wypadek, gdyby pierwsze wkłucie okazało się niedrożne albo żyła została uszkodzona. O 10.10 naczelnik więzienia włącza kamerę i odsłania kotary. Gdy się upewni, że w ostatniej chwili nie wydano decyzji o wstrzymaniu wykonania kary, pyta skazanego o ostatnie słowa i daje team leaderowi sygnał do wstrzyknięcia preparatu. Po pięciu minutach do sali wchodzi lekarz, aby stwierdzić zgon. Jeśli więzień nadal żyje, sięga się po drugi zestaw strzykawek. Procedura nie mówi, co należy zrobić, jeśli znów przeżyje.

Po nieudanej egzekucji 50-letnia Christa Pike przez prawie tydzień leżała pod respiratorem przykuta kajdanami do łóżka w szpitalu w Nashville. Lekarze zamierzali odłączyć kobietę od aparatury podtrzymującej życie, podejrzewając, że przedawkowanie pentobarbitalu najprawdopodobniej spowodowało śmierć mózgu, jednak w ubiegły wtorek Pike odzyskała przytomność. Jej stan wciąż określano jako ciężki: miała zapalenie płuc i poparzenia na ramionach; nie mogła przełykać ani poruszać rękami, a jej dłonie były tak opuchnięte, że przypominały nadmuchane rękawiczki chirurgiczne. Kobieta nabrała sił na tyle, że wypisano ją ze szpitala i przewieziono z powrotem do więzienia, w którym przez prawie trzy dekady czekała na wykonanie wyroku śmierci.

Pike została skazana w 1996 r. za brutalne zamordowanie swojej koleżanki Coleen Slemmer, poznanej w ośrodku kształcenia zawodowego dla młodzieży sprawiającej kłopoty wychowawcze. W dniu popełnienia zbrodni miała 18 lat. Miała być pierwszą kobietą straconą w stanie Tennessee od 1819 r.

Chemiczne tortury

Procedura od początku przebiegała z komplikacjami. Desperackie apelacje obrońców Pike opóźniły egzekucję do wieczora. Kiedy ostatnia furtka prawna została zamknięta, personel więzienny przez godzinę próbował znaleźć żyłę. Zanim udało się w nią wkłuć, zużyto co najmniej siedem igieł. Pomimo podania podwójnej porcji pentobarbitalu kobieta nadal oddychała. Świadkowie opowiadali później, że przez 40 min zza kotary słyszeli na przemian jęk i chrapanie. – Nic z tego nie było normalne – powiedziała Catherine Sweeney, reporterka stacji radiowej WPLN w Nashville. – Relacjonowałam wszystkie egzekucje w zeszłym roku i większość z tych przeprowadzonych w tym roku. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy czegoś podobnego – dodała. Nagranie z telefonu na pogotowie ujawniło, że z powodu nieporozumienia między ratownikami a władzami zakładu karnego pomoc medyczna dotarła na miejsce z opóźnieniem. Karetka zabrała kobietę w stanie krytycznym dopiero po 21, ponad godzinę od podania drugiego zastrzyku.

Chociaż Departament Więziennictwa Tennessee oświadczył, że „na każdym etapie postępowano zgodnie z wymogami obowiązującej procedury", gubernator stanu Bill Lee zawiesił pozostałe zaplanowane egzekucje i zapowiedział dochodzenie mające wyjaśnić, jak to możliwe, że turbodawka trucizny nie zabiła Pike. W odpowiednio wysokim stężeniu we krwi pentobarbital hamuje aktywność ośrodkowego układu nerwowego, wywołując utratę przytomności. Organizm przechodzi wtedy w stan głębokiej śpiączki, po czym zwykle dochodzi do niewydolności oddechowej i zatrzymania akcji serca. Według dominującej hipotezy skazana przeżyła, bo substancja nie trafiła do jej krwiobiegu, lecz wyciekła do tkanek otaczających miejsce wkłucia, na co wskazują oparzenia i pęcherze na jej ramionach. „To najgorszy przypadek nieudanej egzekucji, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia, bez precedensu w czasach współczesnych" – komentował Robin M. Maher, dyrektor organizacji Death Penalty Information Center.

Adwokaci Pike ostrzegali przed takim scenariuszem, przekonując w sądzie, że drobne, osłabione żyły kobiety zwiększają ryzyko powikłań i silnego bólu. Sytuację dodatkowo komplikowało to, że cierpi ona na trombocytozę, która może sprzyjać powstawaniu zakrzepów. „Christa poniosła surowsze konsekwencje niż jakakolwiek inna osoba w historii kary śmierci w Ameryce" – podkreślił Randy Spivey, jeden z obrońców skazanej. Apelując do gubernatora o złagodzenie wyroku, nazwał zabiegi, którym poddano jego klientkę, „chemicznymi torturami". Nie wykluczył wniesienia pozwu przeciwko władzom stanowym. Długotrwałe działanie pentobarbitalu mogło narazić skazaną na trwałe uszkodzenie mózgu.

Sprawa jest wyjątkowa ze względu na przedłużające się cierpienia Pike,

eprasa.pl 619bc0a215

ale komplikacje zdarzają się regularnie w każdym stanie, w którym podaje się śmiertelne zastrzyki. W samym Tennessee to już drugi w tym roku epizod. W maju Tony Carruthers, skazany za porwanie i zabójstwo trzech osób, przez 1,5 godz. jęczał z bólu, gdy personel bezskutecznie próbował założyć mu drugi wenflon. Na polecenie gubernatora procedurę wstrzymano i odroczono o rok. Podobna sytuacja przydarzyła się zimą 2024 r. w Idaho, gdzie zastrzyk z trucizną miał otrzymać Thomas Creech, seryjny morderca i najdłużej oczekujący na wykonanie wyroku śmierci więzień w Ameryce (w tym roku minęły 43 lata). Funkcjonariusze przez godzinę szukali na jego ciele miejsca z widoczną żyłą, aż w końcu się poddali.

Największe popisy nieudolności dały w 2022 r. służby penitencjarne Alabamy. Zaczęło się latem od trwającej trzy godziny agonii Joego Nathana Jamesa Jr., straconego za zabójstwo swojej dziewczyny. Przeprowadzona na żądanie rodziny sekcja ujawniła u niego liczne ślady po igłach oraz siniaki na kostkach dłoni i nadgarstkach. Rany szarpane na ramieniu wskazywały, że gdy mniej inwazyjne metody zawiodły, mężczyźnie nacięto skórę, by odsłonić żyły, co wiązało się z podwyższonym ryzykiem m.in. zakażenia i zakrzepicy. Dwa miesiące później służby więzienne 18 razy nakłuły innego mordercę, Alana Eugene'a Millera. W pewnym momencie jeden z funkcjonariuszy ustawił nosze, do których był przymocowany skazaniec, pionowo i wyszedł na naradę, pozwalając tak wisieć 160-kilogramowemu ciału. Po nim przyszła kolej na Kennetha Smitha, który trafił do celi śmierci za zabójstwo na zlecenie. Czterdzieści minut przed północą władze zakładu karnego doszły do wniosku, że nie zdążą go uśmiercić przed upływem terminu, więc zarzuciły próby założenia wenflonu.

Pozornie humanitarnie

Śmiertelny zastrzyk jest dziś stosowany w niemal 98 proc. egzekucji w USA. Władze stanowe zaczęły go wprowadzać pod koniec lat 70. XX w., kiedy coraz więcej Amerykanów postrzegało krzesło elektryczne jako zbyt brutalną metodę zabijania przez państwo. Dzięki fasadzie zabiegu medycznego podanie dożylnie toksycznego koktajlu wydawało się dużo bardziej humanitarną i najmniej bolesną alternatywą – szybką, sterylną, przewidywalną, wydajną, a do tego niewidoczną. Zwolennicy kary odwetowej uważali ją wręcz za niewspółmierną do krzywd wyrządzonych przez najgroźniejszych przestępców. „Każda inna metoda wykonywania egzekucji – powieszenie, krzesło elektryczne, komora gazowa i rozstrzelanie – obnaża brutalność państwa, które zabija w naszym imieniu. Śmiertelny zastrzyk ją ukrywa. Nie musimy patrzeć na krew, czuć zapachu palonego ciała ani słuchać odgłosów cierpienia" – pisze prof. Corinna Lain w wydanej w 2025 r. książce „Secrets of the Killing State: The Untold Story of Lethal Injection".

Obietnica spokojnego umierania z rąk państwa okazała się jednak fałszywa. Dożylne wlewanie trucizny nie ma za wiele wspólnego z kliniczną, kontrolowaną procedurą, którą wyobrażali sobie reformatorzy dążący do „ucywilizowania" egzekucji. Nosze, strzykawki, aparatura medyczna, fartuchy – to w dużej mierze rekwizyty, które mają stwarzać wrażenie, że zabijanie przebiega spokojnie, bezboleśnie i pod nadzorem profesjonalistów niczym operacja ratująca życie. Sam fakt podania leków zgodnie z protokołem nie przesądza o tym, że skazany nie cierpi ani nie zachowuje świadomości. W praktyce toksyczne zastrzyki odpowiadają za więcej przypadków konania w męczarniach niż inne metody wykonywania kary śmierci wykorzystywane w USA. Tak wynika z badań prof. Austina Sarata, który przyjrzał się wszystkim egzekucjom (prawie 8,8 tys.) przeprowadzonym w latach 1890–2010. W ok. 7 proc. z przeszło tysiąca procedur z użyciem trucizny pojawiły się komplikacje, które przysporzyły skazanym niepotrzebnego cierpienia – często wynikającego z niekompetencji personelu więziennego lub instrukcji niemogących przewidzieć wszystkich możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji. A czasem po prostu z tego, że leki nie zadziałały zgodnie z założeniami. Dla porównania – niespełna 2 proc. wyroków śmierci wykonanych za pomocą krzesła elektrycznego wiązało się z nieprawidłowościami. W kolejnym badaniu obejmującym chemiczne egzekucje z lat 2010–2020 problemy odnotowano w 8 proc. przypadków. Sarat tylko w tej jednej dekadzie udokumentował ponad 70 spraw, w których skazani mieli poważne trudności z oddychaniem.

W 2020 r. dziennikarze NPR razem z ekspertami przeanalizowali ponad 200 raportów z sekcji zwłok więźniów straconych przez podanie toksycznej formuły. U czterech na pięciu z nich stwierdzono ślady ostrego obrzęku płuc. To nagły stan, kiedy pęcherzyki płucne zalewa płyn uniemożliwiający oddychanie, co najczęściej wskazuje na niewydolność serca. Sąd federalny w Ohio, który badał jedną z takich spraw, porównał to do torturowania przez podtapianie.

Jedną z przyczyn powikłań jest to, że zastrzyki podają na ogół funkcjonariusze więzienni z ograniczonym przeszkoleniem medycznym. Większość lekarzy odmawia udziału i konsultacji w egzekucjach ze względów etycznych.

Eksperymenty na skazanych

Przez pierwsze 30 lat standardowy zastrzyk składał się z trzech substancji: tiopental sodu miał zahamować oddychanie i doprowadzić do zgonu na skutek przedawkowania; bromek pankuronium zwiotczał mięśnie i uniemożliwiał wtłaczanie powietrza do płuc; chlorek potasu wywoływał zatrzymanie akcji serca. Tiopental pełnił też dodatkową funkcję: miał tłumić przeszywający ból, który powodowałoby działanie dwóch pozostałych substancji. Dostęp do leków wchodzących w skład tego zestawu stawał się jednak coraz trudniejszy. Pod wpływem sprzeciwu europejskich rządów oraz presji ze strony inwestorów i aktywistów koncerny farmaceutyczne doszły do wniosku, że uwikłanie w przemysł egzekucyjny jest zbyt kosztowne. W 2009 r. Hospira, główny dostawca tiopentalu do amerykańskich więzień, zakończyła jego produkcję, by nie narażać się na odpowiedzialność prawną w macierzystych Włoszech. Gdy władze w Rzymie zakazały eksportu tej substancji do wykonywania kary śmierci, firma uznała, że nie jest w stanie zagwarantować, iż jej preparat nie zostanie do tego użyty. Miejsce usypiacza pierwszego wyboru zajął pentobarbital zarówno jako składnik toksycznego miksu, jak i jedyny śmiertelny zastrzyk. On także zaczął błyskawicznie znikać z rynku, zwłaszcza po tym, jak duńska firma Lundbeck, wiodący producent preparatu, zablokowała jego sprzedaż służbom penitencjarnym w USA. Jej śladami poszła reszta Big Pharmy.

> Pod wpływem sprzeciwu europejskich rządów oraz presji ze strony inwestorów i aktywistów koncerny farmaceutyczne doszły do wniosku, że uwikłanie w przemysł egzekucyjny jest zbyt kosztowne

Pozostawione bez wyboru stany zaczęły testować nowe substancje i niesprawdzone mikstury. Niektóre włączyły do śmiertelnego koktajlu midazolam, lek uspokajający z rodziny benzodiazepin, mimo że według ostrzeżenia na etykiecie nie gwarantuje on znieczulenia podczas bolesnych zabiegów. Inne testowały turbodawki i różne kombinacje barbituranów. Władze budowały też alternatywne kanały zaopatrzenia – znalazły firmy chemiczne dostarczające hurtowe ilości sproszkowanego pentobarbitalu, z którego apteki następnie sporządzały roztwór do wstrzykiwania. Produkcja preparatów recepturowych nie podlega surowym regulacjom obowiązującym koncerny farmaceutyczne, co oznacza, że Agencja Żywności i Leków (FDA) nie weryfikuje ich bezpieczeństwa, jakości i skuteczności. Nie powinno więc dziwić, że problemów z zastrzykami przybywało. W 2018 r. portal Buzzfeed ustalił, że służby penitencjarne Teksasu kupowały pentobarbital w aptece, która miała na koncie kilkadziesiąt naruszeń przepisów bezpieczeństwa, w tym dotyczących przygotowywania roztworów dożylnych i niedostatecznej higieny. Pięciu z jedenastu więźniów straconych w tamtym roku na terenie stanu skarżyło się po wstrzyknięciu płynu na pieczenie, co wzbudziło podejrzenia, że leki były przeterminowane lub zanieczyszczone. Podobne sytuacje miały miejsce m.in. w Missouri, Georgii, Tennessee i Idaho. Wiele z tych eksperymentów zakończyło się pozwami o tortury i spowodowanie nieuzasadnionego cierpienia.

Kurcząca się podaż wywindowała ceny preparatów do uśmiercania. Z dokumentów, do których jesienią 2025 r. dotarła NBC News, wynika, że w ciągu 12 miesięcy Teksas wydał na zakup pentobarbitalu ponad 775 tys. dol. Nie wiadomo dokładnie, skąd go pozyskał. Władze stanowe nie muszą tego ujawniać, bo w reakcji na nieudane egzekucje i rosnące oburzenie katuszami skazańców legislatury przyjęły przepisy utajniające informacje na temat różnych aspektów wykonywania kary śmierci – od źródeł substancji i szczegółów transakcji po przebieg procedury i kwalifikacje funkcjonariuszy podających zastrzyki.

Nieudane egzekucje i deficyt leków skłoniły część stanów do zalegalizowania nowych sposobów zabijania. Alabama, Arkansas, Oklahoma, Missisipi i Luizjana dopuściły wykonywanie kary śmierci przez uduszenie azotem. Pierwszymi skazańcami, na których wypróbowano tę metodę, zostali w 2024 r. Alan Eugene Miller i Kenneth Smith. Idaho, Missisipi, Oklahoma, Karolina Południowa i Utah zezwoliły też na egzekucje przez rozstrzelanie. – Przez ok. 10 s przed śmiercią człowiek może odczuwać skrajny ból, ale moim zdaniem jest to bardziej humanitarna metoda niż śmiertelny zastrzyk – powiedział Bruce Skaug, legislator z Idaho, który zgłosił projekt ustawy w tej sprawie. W Tennessee trwa właśnie dyskusja o przywróceniu stosowania krzesła elektrycznego, którego gorącą zwolenniczką jest faworytka republikanów w wyścigu o fotel gubernatorski Marsha Blackburn.

W 2025 r. w USA wykonano 47 wyroków śmierci, prawie dwa razy więcej niż rok wcześniej. W dużej mierze przyczyniła się do tego Floryda, na którą przypadło 40 proc. straconych. W tym roku będzie to ponad połowa. Za egzekucyjnym wzmożeniem stoi tam gubernator Ron DeSantis, który od objęcia władzy zabiega o rozszerzenie stosowania kary ostatecznej na terenie stanu. Od 2023 r. 12-osobowa ława przysięgłych na Florydzie nie musi osiągnąć jednomyślności, aby ją rekomendować (wystarczy osiem głosów za). DeSantis jako jedyny gubernator w USA może wydawać nakazy egzekucji bez konieczności uzyskania zgody sądu.

Za prezydentury Joego Bidena obowiązywało moratorium na egzekucje federalne. Administracja Donalda Trumpa nie tylko autoryzowała stosowanie pentobarbitalu, który zdaniem poprzedników przysparzał skazanym niepotrzebnego cierpienia, lecz także planuje zabijać przez rozstrzelanie. Pierwszym, który stanie przed plutonem egzekucyjnym, będzie Nidal Malik Hasan, sprawca masakry w Fort Hood z 2009 r. Sekretarz obrony Pete Hegseth ogłosił, że wykonanie wyroku będzie transmitowane na żywo.

Od szczytu w 1999 r., kiedy w Stanach Zjednoczonych stracono 98 osób, liczba zarówno egzekucji, jak i orzeczonych kar śmierci powoli maleje. Częściowo jest to kwestia trudności z dostępem do trucizny, częściowo – zmieniającego się nastawienia Amerykanów. Według Instytutu Gallupa poparcie dla kary śmierci spadło z rekordowych 80 proc. w połowie lat 90. do 52 proc. w 2025 r. ©℗

eprasa.pl 619bc0a215

Polowanie na ochotników

Za nic nie możesz się zgodzić na podpisanie kontraktu z armią. Jeśli ulegniesz presji, przepadłeś

Z Grigorijem

Swierdlinem

rozmawia Michał Potocki



Jestem Rosjaninem po czterdziestce, dostałem wezwanie do wojska, ale nie chcę jechać na wojnę w Ukrainie. Co mam robić?

Warto się skontaktować z organizacjami obrony praw człowieka, np. z nami, czyli z Idźcie Lasem. Im szybciej, tym większa szansa, że uda się pomóc. A tak w ogóle to najlepiej się skontaktować, zanim dostanie się powołanie, bo wtedy są sposoby, by ograniczyć ryzyko jego otrzymania; może są przyczyny do odroczenia służby związane z nauką czy zdrowiem. Powody rodzinne. Bo jeśli ktoś już trafił do armii, sposobów na legalną pomoc praktycznie nie ma. Choć my, w odróżnieniu od innych organizacji, pomagamy też z wykorzystaniem metod nielegalnych. Państwo rosyjskie w dzisiejszej postaci to zbrodniarz wojenny, a my nie będziemy wykonywać jego rozkazów. Jeśli możemy kogoś wesprzeć legalnie, to tak zrobimy, ale jeśli trzeba pomóc w dezercji albo w nielegalnym przekroczeniu granicy i wyjeździe z Rosji, też jesteśmy gotowi pomóc.

W takim razie cofnę się o krok. Nie dostałem jeszcze powołania, ale intuicja mi podpowiada, że to się może zmienić.

Poza poszukaniem podstaw do odroczenia warto przygotować strategię na wypadek zatrzymania na ulicy. Najważniejsze: w takiej sytuacji za nic nie możesz się zgodzić na podpisanie kontraktu z armią. Jeśli ulegniesz presji, przepadłeś. Choć bywały przypadki – bardzo rzadkie – że w ciągu doby od podpisu udało się dowieść, że kontrakt został podpisany pod presją.

To w ogóle możliwe?

Trzeba natychmiast wszcząć alarm, wiele zależy też od zdecydowania krewnych. Jeśli kontraktnik miał matkę z potężną siłą przebicia i wsparciem prawników i natychmiast po podpisaniu kontraktu wszyscy oni zjeżdżali do jednostki wojskowej, zdarzało się, iż udało się udowodnić przymus, a przecież kontrakt musi być dobrowolny. Zasadniczo rekomendujemy zawczasu ustanowić kogoś z krewnych notarialnie poświadczonym pełnomocnikiem, żeby mieć w razie czego legalnego przedstawiciela na wolności. Do tego warto mieć przy sobie kontakty do obrońców praw człowieka oraz wypełniony wniosek o alternatywną służbę wojskową, który raczej nic nie da, ale może pozwolić przeciągnąć sprawę. W domu nie wolno otwierać drzwi nieznajomym. Policja musi mieć nakaz przeszukania, by móc wejść.

Odroczenie ze względu na studia działa? Po uniwersytetach też chodzą rekruterzy.

Zaczęli chodzić w zeszłym roku – i pojawiają się coraz częściej. Odnotowujemy coraz więcej wywierania presji na różne grupy społeczne, w tym na studentów. Bierze się to stąd, że ochotników gotowych zaciągnąć się do armii jest zbyt mało, by uzupełniać straty szacowane na 30 tys. zabitych i rannych miesięcznie. Dlatego coraz częściej się zdarza, że student słyszy: „Nie zdałeś egzaminu, a do poprawkowego cię nie dopuścimy, chyba że podpiszesz kontrakt na sześć miesięcy. Nic ci się nie stanie, będziesz sterować dronami z bezpiecznego miejsca, a potem wrócisz i problemy z egzaminami znikną”. Tyle że to oszustwo, bo w czasie mobilizacji, która formalnie rozpoczęła się we wrześniu 2022 r., wszystkie kontrakty automatycznie zostały przekształcone na bezterminowe. Choćby umowa przewidywała sześciomiesięczną służbę, nikt takiego studenta z armii nie wypuści. Obietnica, że człowiek będzie służyć w konkretnym miejscu, też jest kłamliwa, bo po zawarciu kontraktu można go wysłać dokądkolwiek. Może będzie operatorem dronów, a może trafi do oddziałów szturmowych. Efektywność takiej agitacji jest niewielka, ale parę tysięcy studentów zwerbowano.

Umowa społeczna, która obowiązywała przez ostatnie trzy lata, przewidywała stosunkowo duże pieniądze, zwłaszcza jak na standardy prowincji, w zamian za podpisanie kontraktu i jeszcze większe wypłaty na wypadek śmierci, co pozwalało uzupełniać straty faktycznymi ochotnikami. Wiadomo było, że w pewnym momencie ich zacznie brakować, bo kto chciał w ten sposób zarobić, już poszedł na front.

Tak, ochotników jest coraz mniej. Ci ludzie dzielą się na trzy kategorie. Pierwsza to poborowi. Według naszych ocen 70 proc. z nich spotyka się z silną presją na przejście na zawodowstwo. Nacisk jest znacznie silniejszy niż w przypadku studentów. Druga kategoria to ludzie, których zwabia się przez serwisy z ofertami pracy, oferujące np. pracę kierowcy w obwodzie rostowskim. Kiedy człowiek przychodzi na rozmowę, okazuje się, że ma do podpisania umowę z Ministerstwem Obrony. Trzecia kategoria to ludzie zatrzymywani na ulicy np. pod wpływem alkoholu czy w obławach, jakie widzieliśmy latem w obwodach rostowskim czy penzeńskim. Resort obrony chciałby przeprowadzić nową falę mobilizacji, ale ponieważ nie ma na to na razie zgody, podejmuje inne działania.

Na czym polega problem z rozpoczęciem nowej fali mobilizacji? Przecież wystarczy uzupełnić tajny art. 7 ukazu o mobilizacji nową liczbą. Nie trzeba tego ogłaszać.

Im dłużej trwa wojna, tym większe prawdopodobieństwo, że tak się stanie. Mimo to ten krok jest uważany przez władze za bardzo niepopularny. Obowiązuje cicha umowa, że wojna jest gdzieś daleko i walczą ci, którzy chcą – żołnierze zawodowi, zwerbowani więźniowie itp. Rozpoczęcie mobilizacji to złamanie umowy społecznej.

Ma pan jakiekolwiek statystyki dotyczące liczby realnych ochotników i liczby tych, którzy zaciągnęli się pod presją?

Nikt takich badań nie prowadzi, bo nie ma jak, ale według naszych ocen jakieś 70 proc. ludzi trafiających do wojska idzie tam nie do końca z własnej woli – albo zupełnie wbrew niej.

Poborowych dalej nie wysyła się na front?

Bywały takie przypadki, zwłaszcza podczas ukraińskiej ofensywy w obwodzie kurskim, gdy wojna toczyła się już na terenie Rosji. Ale niewiele. Władze wolą wysyłać do strefy działań wojennych żołnierzy zawodowych, żeby nie narażać się na gniew krewnych poborowych. Po obwodzie kurskim widzieliśmy, że rodziny zaczynają w takich przypadkach podnosić alarm, a władze nie lubią zbędnego szumu.

Zasada, że werbuje się ludzi z biedniejszych regionów, a nie z Moskwy czy Petersburga, wciąż działa?

Nie bardzo. Mieszkańców metropolii biorą rzadziej, za to proporcjonalnie więcej jest wśród nich ludzi zatrzymywanych pod wpływem alkoholu, wysyłanych do aresztów i zmuszanych do podpisania kontraktu. W samej Moskwie mieszka 10 proc. wszystkich Rosjan, nie da się bez stolicy wykonać planów werbunkowych.

Jak wygląda statystyczny portret człowieka, który szuka u was pomocy?

Jakieś 80 proc. to cywile, zaś reszta to poborowi albo żołnierze, którzy już podpisali kontrakty. Wśród tych 80 proc. jest wielu takich, którzy boją się nowej fali mobilizacji i starają się zawczasu ograniczyć ryzyko. Są też osoby starające się zorientować, po co ich wzywają do komendy uzupełnień. Bo bywają wezwania na ćwiczenia, czasem by uzupełnić dane. Ale w takich przypadkach też ludzie są przymuszani do zawarcia kontraktu. Wolą się z nami wcześniej skonsultować, czy mają się stawić na wezwanie, czy nie. Wiele pytań dotyczy wyjazdu z kraju: „Dostałem powołanie. Przepuszczą mnie przez granicę czy zatrzymają?”.

I jak brzmi odpowiedź?

Na jednego człowieka, którego nie przepuścili, przypada pięciu czy sześciu takich, którym się udaje.

System się jeszcze nie domknął?

Działa rejestr ewidencji wojskowej, ale nie został na razie sprzężony z bazą danych straży granicznej. I pogranicznicy zazwyczaj nie wiedzą, że ktoś otrzymał powołanie i nie powinien opuszczać kraju.

eprasa.pl 619bc0a215


FOT. MIKHAIL TERESHCHENKO/ZUMA PRESS/FORUM

W sumie to dziwne, że nie sprzężono tych baz danych.

Technicznie to nie takie proste. Poza tym służby konkurują o to, kto miałby władać takim systemem. Zresztą nie wystarczy połączyć ewidencji wojskowej z danymi pograniczników. Są jeszcze bazy orzeczeń sądowych, policji itd. Zgodnie z ustawą o wezwaniach elektronicznych z 2023 r. na osobę, która nie stawiła się na wezwanie, nakłada się wiele ograniczeń. Powinna stracić możliwość wzięcia kredytu, kupna i sprzedaży nieruchomości, a nawet kierowania pojazdami. Ale żeby te przepisy naprawdę zadziałały, trzeba połączyć wiele baz danych.

Załóżmy, że chcę wyjechać. Jeśli mam paszport, a w nim wizę do strefy Schengen lub USA, wszystko wydaje się proste. A co, jeśli nie mam paszportu? Czy Rosjanin może dokądkolwiek wyjechać z dowodem osobistym?

Do Kazachstanu i Armenii. 90 proc. dezerterów, którym pomagamy w ucieczce, trafia do tych państw.

I stają się zależni od ich polityki wewnętrznej, a Astana i Erywań znajdują się pod presją Moskwy. Dezerter raczej nie dostanie paszportu w rosyjskim konsulacie.

Dostanie, jeśli nie jest poszukiwany na poziomie federalnym, więc trzeba się pospieszyć ze złożeniem wniosku. Jeśli już go szukają, paszportu w konsulacie nie wyrobi. Jeśli chodzi o politykę wewnętrzną, faktycznie Kazachstan staje się dla dezerterów coraz mniej bezpiecznym krajem. Armenia na odwrót.

Były przypadki deportacji do Rosji?

Z Kazachstanu kilka, z Armenii nie.

Ilu ludziom pomogliście w ramach projektu Idźcie Lasem?

Osiemdziesięciu dwóm tysiącom pomogliśmy różnego rodzaju poradami prawnymi czy psychologicznymi. W dezercji pomogliśmy ponad 3,3 tys., w tym pewnej liczbie oficerów. Niektórych wywieźliśmy z kraju, niektórzy wyjechać nie chcieli. Jedni boją się samego przekraczania granicy, inni nie widzą dla siebie miejsca na emigracji.

Pomagaliście komuś w oddaniu się do niewoli? Współpracujecie z Ukraińcami?

Jesteśmy z nimi w kontakcie, lecz oddanie się do niewoli to rzadki scenariusz. Pamiętam jedynie kilka takich przypadków. Większość dezercji dotyczy ludzi, którzy jeszcze się nie znaleźli na terenach okupowanych. Część dopiero podpisała kontrakt, inni dowiedzieli się o planowanej dyslokacji, będąc w jednostce na Sachalinie czy w Rostowie nad Donem. Człowiekowi, który jest już na froncie, pomóc jest znacznie trudniej.

Można się w ogóle ukrywać w Rosji?

Zawsze radzimy wyjazd do innego regionu, pracę na czarno, korzystanie z kart SIM kupionych nie na własne nazwisko. Jeśli przestrzega się pewnych zasad ostrożności, można żyć poniżej zasięgu radaru.

Ilu takich ludzi ukrywa się w kraju?

Jakieś 1,5 tys. „naszych", ale przecież wielu zdezerterowało też bez naszej pomocy. Nie wszyscy o nas wiedzą, nie wszyscy są gotowi zaufać jakimś ludziom z internetu. W sumie jest ich pewnie ponad 10 tys.

Wspomniał pan o oficerach. To szczególnie ciekawe, bo skoro ktoś się dosłużył stopnia oficerskiego, to był dostatecznie zmotywowany, ale w którymś momencie uznał, że ma dość.

Mieliśmy sporo powiadomień na początku wojny. Pisali, że ich ojcowie i dziadkowie służyli, więc i oni poszli do wojska – ale poszli po to, żeby bronić ojczyzny, a nie po to, by napadać na Ukrainę. Sporo tam było bluzgów pod adresem Putina.

Ile gwiazdek na pagonach miał najwyższy rangą oficer, który się do was zwrócił?

Powyżej majora chyba nikogo nie było.

Po 2022 r. zmodernizowano system mobilizacji. Wcześniej obieg dokumentów był papierowy, teraz wezwania można dostarczać przez Gosusługi, czyli rosyjskiego mObywatela.

W kwietniu 2023 r. Duma przyjęła ustawę o wezwaniach elektronicznych. Na jej mocy stworzono rejestr podlegających służbie wojskowej, do którego weszło ponad 30 mln ludzi. Pod koniec 2025 r. ktoś się do tego rejestru włamał. Hakerzy przekazali nam sporo informacji. Analizując je, doszliśmy do wniosku, że system powstał na potrzeby mobilizacji. Jest tam panel zarządzania, za pomocą którego można określić, ile osób chce się wcielić do wojska z podziałem na regiony, komendy uzupełnień, według lat urodzenia. Dzięki Bogu – i hakerom – ten system wciąż w pełni nie działa.

Wezwanie może przyjść przez Gosusługi. Można się od nich odłączyć? Jeśli dostanę powołanie, a nie mam aplikacji na smartfonie, ktoś mnie będzie ścigać?

Niczego to nie da. Od 2023 r. za moment skutecznego wręczenia powołania uważa się chwilę jego zamieszczenia w rejestrze. Brak aplikacji Niczego nie daje.

Wielu Rosjan obawiało się, że po wrześniowych wyborach parlamentarnych władze przystąpią do nowej mobilizacji. Pewna ich liczba zdecydowała się na emigrację. Widzi pan sygnały świadczące o przygotowaniach do wznowienia mobilizacji?

Widzimy oznaki niepokoju. W lipcu półtorakrotnie wzrosła liczba zgłoszeń, które otrzymujemy. Wiosną było ich 80–120 dziennie, teraz otrzymujemy ponad 150.

Może po prostu więcej ludzi o was wie.

To nie jest tak, że nagle w lipcu staliśmy się półtora raza bardziej znani niż w maju. Uważaliśmy jednak jeszcze przed wyborami, że nowej fali mobilizacji nie będzie – i wciąż tak sądzimy. Z jednej strony to byłby bardzo niepopularny krok, z drugiej Ministerstwu Obrony dzięki zwiększaniu presji na ludzi na razie udaje się wykonywać plan nowych kontraktów. Ale im dłużej potrwa wojna, tym gorzej ten system będzie działać – i w pewnym momencie rzeczywiście nadejdzie czas na nową mobilizację.

Gdyby rozpoczęła się teraz, wniosek byłby taki, że nie chodzi o pokrycie deficytów na froncie, tylko szykuje się nowa ofensywa w Ukrainie albo chodzi o akcję przeciwko innemu państwu.

Jeśli Putin podejmie decyzję o zwiększeniu zgrupowania w Ukrainie albo o ataku na państwo trzecie, trzeba będzie rozpocząć nową falę. Takich sygnałów na razie nie ma.

Jeśli się pojawią, ile będzie czasu od wznowienia mobilizacji do rozpoczęcia wykonywania postawionego zadania wojskowego?

To zależy, ilu żołnierzy będą chcieli powołać. Jeśli 0,5 mln, to kilka miesięcy. Przy 100 tys. poradzą sobie w kilka tygodni.

Sześcioletni wyrok otrzymał pan właśnie za pomoc dezerterom?

Formalnie za dyskredytację rosyjskiej armii.

Zwiększa to ryzyko dla tych, którzy się z panem kontaktują?

Idźcie Lasem i ja mamy status agentów zagranicznych. Ale zgodnie z aktualnym prawem rozmowa z agentem zagranicznym nie jest zabroniona. Inna sprawa, gdyby uznali nas za organizację niepożądaną albo ekstremistyczną. To też sygnał świadczący o średniej efektywności systemu. Tyle mają roboty, że nie nadążają z uznawaniem za ekstremistów.

Przed 2022 r. zajmował się pan działalnością dobroczynną w Rosji, kierując pomagającą petersburskim bezdomnym organizacją Nocleg. Książka „Punkt obogriewa" (Ogrzewalnia) dotyczy właśnie tego okresu pana życia?

Nie tylko, o Idźcie Lasem też napisałem.

Chciałem zapytać, jak ewolucja Rosji w stronę totalitaryzmu odbijała się na pana pracy przed 2022 r. Czy można było ją dostrzec przez pryzmat pana działalności?

To dobre pytanie. Noclegownią kierowałem przez 11 lat. Uczyniliśmy z niej jedną z najbardziej znanych i największych organizacji dobroczynnych w kraju. Im bardziej rosła ta organizacja, tym wyraźniej widzieliśmy, jak państwo stara się wziąć trzeci sektor pod kontrolę. Sama ustawa o agentach zagranicznych początkowo dotyczyła tylko organizacji pozarządowych. Już siedem, osiem lat temu polityka w Rosji przestała istnieć. W zasadzie nie dało się od tego czasu legalnie konkurować z partiami władzy, więc jeśli ktoś chciał jakkolwiek zmieniać sytuację na lepszą, zajmował się działalnością dobroczynną. Polityka się skończyła, dziennikarstwo też, a sfera charytatywna nadal była słabo kontrolowana. Do dziś są w Rosji projekty pozapaństwowe, które pozwalają sobie nawet na ostrożną krytykę jakichś państwowych niedociągnięć.

Kiedy, według pana odczuć, Rosja przeszła na drodze do autorytaryzmu punkt, z którego nie było powrotu?

Myślę, że nastąpiło to w 2012 r., gdy Putin wrócił na stanowisko prezydenta po roszadzie z Dmitrijem Miedwiediewem. I po protestach na Placu Błotnym z 2011 r., gdy mnóstwo ludzi wsadzono do aresztów za sprzeciw okazany władzy.

Noclegownia budziła zainteresowanie służb?

Zainteresowania służb może nie, ale gubernatora Petersburga – owszem. Dość często politycy z kręgów władzy chcieli wykorzystywać nasze zasoby dla swoich celów. Oni coś dadzą, my napiszemy na swojej stronie, jak bardzo Jedna Rosja nam pomogła. Zawsze odmawialiśmy.

Takie zainteresowanie ze strony polityków to norma także w państwach demokratycznych.

W państwach demokratycznych nie byłaby normą zapowiedź wicegubernatora Petersburga, że rozjedzie mnie czołgiem, jeśli dalej będziemy informować o liczbie zgonów wśród bezdomnych. ©℗


FOT. IRAKLI GEDENIDZE /REUTERS/FORUM

Grigorij
Swierdlin
rosyjski obrońca praw człowieka, kierownik inicjatywy Idźcie Lasem (Iditie lesom), pomagającej Rosjanom uchylać się od służby w wojsku, autor wydanej właśnie książki „Punkt obogriewa" (Ogrzewalnia), od 2022 r. na emigracji, w Rosji skazany zaocznie na sześć lat obozu

eprasa.pl 619bc0a215

Ofiary urbanizacji

W Nairobi, jednym z najszybciej rozwijających się miast Afryki, buduje się szybko i gęsto. Nowe bloki powstają często bez odpowiednich pozwoleń i z pominięciem podstawowych zasad bezpieczeństwa

Karolina
Wójcicka
korespondencja z Nairobi



Była trzecia w nocy, gdy w centrum stolicy Kenii doszło do katastrofy budowlanej. Kiedy robotnicy usuwali ziemię z wykopu, nagle runęła jedna ze ścian zabezpieczających, co spowodowało zawalenie całej konstrukcji i przysypanie części pracowników. Do dziś nie wiadomo, co dokładnie było przyczyną wypadku. – Być może zawiniła koparka, która przypadkiem najechała na ścianę zabezpieczającą – mówi George Kariuki, który tej nocy pracował na 12-godzinnej zmianie. – Gdyby to się wydarzyło w dzień, widzielibyśmy, że ściana zaczyna się walić i być może zdążylibyśmy uciec – opowiada.

W Kenii praca nocą nie jest niczym nadzwyczajnym. George mówi, że niektórzy harują na budowach nawet po 24 godziny. Dlaczego? Po pierwsze, jak tłumaczy – „trzeba z czegoś żyć". – Dniówka wynosi jakieś 600 szylingów, więc jeśli komuś uda się dodatkowo przepracować noc, wróci do domu z 1,2 tys. – wyjaśnia. To odpowiednio ok. 18 i 32 zł. Po drugie, Nairobi rozwija się w zawrotnym tempie. Miasto, które po uzyskaniu przez Kenię niepodległości w 1963 r. liczyło zaledwie 266 tys. mieszkańców, w latach 80. przekroczyło milion. Największe przyspieszenie przyszło jednak w XXI w. W latach 2000–2025 populacja Nairobi wzrosła z 2,6 mln do 5,6 mln osób. Trzeba więc budować szybko i gęsto, zwłaszcza że metropolia zmaga się z poważnym kryzysem mieszkaniowym. Niemal 60 proc. osób mieszka tu na nieformalnych osiedlach, często bez dostępu do podstawowych usług. Według oficjalnych danych w stolicy brakuje co najmniej 2 mln lokali.

Chaos i pośpiech

Problem pogłębia się wraz z napływem do Nairobi ludzi takich jak George, który musiał zostawić na wsi żonę i dwójkę małych dzieci, bo nie miał szans na znalezienie tam sensownej pracy. Prognozuje się, że do 2050 r. populacja miasta może sięgnąć 12 mln. Nowy raport Oxford Economics określa Nairobi mianem głównego ośrodka gospodarczego Afryki Wschodniej i bramy do rynków Wspólnoty Wschodnioafrykańskiej (EAC). To właśnie tutaj swoje regionalne siedziby mają liczne międzynarodowe korporacje, m.in. Google, Microsoft, IBM i Coca-Cola.

Według danych Banku Światowego PKB Kenii na mieszkańca wzrosło z 414,6 dol. w 2000 r. do 2,4 tys. w 2025 r. Oznacza to, że w ciągu 25 lat zwiększył się on ponadpięciokrotnie. Bank Światowy przewiduje, że w 2026 r. tempo wzrostu gospodarczego kraju wyniesie 4,6 proc., a w kolejnych latach będzie niewiele niższe.

Nairobi zyskuje na znaczeniu także jako centrum organizacji międzynarodowych. Swoją obecność w stolicy Kenii rozszerza ONZ, która w związku z koniecznością ograniczania kosztów przenosi część operacji z drogich ośrodków Zachodu do miast globalnego Południa. Swoją działalność prowadzą tu m.in. UNICEF, UNFPA (Fundusz Ludnościowy Narodów Zjednoczonych) i UN Women. Przenosiny planują też inne agencje. W maju ONZ rozpoczęła rozbudowę swojej tutejszej siedziby. – Kenia będzie korzystać z obecności ONZ w kraju – powiedział w lutym premier Kenii Musalia Mudavadi.

Na razie władze średnio radzą sobie z przyspieszającą urbanizacją. Miasto rozrasta się chaotycznie, co widać niemal na każdym kroku: na przepełnionych ulicach, po których trudno się poruszać pieszo, zakorkowanych drogach i niewydolnym transporcie publicznym. Nowe budynki powstają często w pośpiechu, bez odpowiednich pozwoleń i materiałów budowlanych oraz z pominięciem podstawowych zasad bezpieczeństwa.

System do naprawy

Mairura Omwenga, przewodniczący Stowarzyszenia Planistów Miejskich i Powiatowych Kenii (Town and County Planners Association of Kenya) twierdzi, że jedną z głównych przyczyn zawaleń budynków jest korupcja w samorządach hrabstw. – Nie dotyczy ona wyłącznie pieniędzy. Obniżanie standardów, stosowanie niespełniających norm materiałów i chodzenie na skróty to również formy korupcji – powiedział Omwenga kenijskiemu dziennikowi „The Standard".

Jak podaje Stowarzyszenie Inżynierów w Kenii (IEK), inspekcje przeprowadzone przez Krajowy Inspektorat Budowlany w ok. 15 tys. budynków wykazały, że zaledwie 15 proc. z nich spełniało wymogi bezpieczeństwa. Kolejne 8 proc. oceniono jako będące w dostatecznym stanie i możliwe do naprawy. – W tym roku zareagowaliśmy już na osiem zawaleń budynków. Cztery z nich runęły jeszcze w trakcie budowy – opowiada mi Gideon Ombti, dowódca zespołu poszukiwawczo-ratowniczego w Nairobi. Katastrofy nierzadko kończą się tragicznie. Gideon wspomina, że w największej, z jaką miał do czynienia, zginęło sześć osób.

Na budowie, na której pracował George, udało się uniknąć ofiar śmiertelnych. – Ci z nas, którzy nie odnieśli poważniejszych obrażeń, pomogli wydostać się sześciu osobom, które następnie przewieziono karetką do szpitala. Około piątej rano przyjechały straż pożarna i Czerwony Krzyż, które uratowały jeszcze trzy osoby uwięzione głęboko pod gruzami – opowiada George. Miały sporo szczęścia, bo pomoc służb

> Inspekcje przeprowadzone przez Krajowy Inspektorat Budowlany w ok. 15 tys. budynków wykazały, że zaledwie 15 proc. z nich spełniało wymogi bezpieczeństwa

eprasa.pl 619bc0a215



FOT. ANDREW KASUKU/AP/EAST NEWS

Akcja ratunkowa po zawaleniu się budynku w Nairobi. 2 stycznia 2026 r.

ratowniczych nie jest w Kenii normą. – Jeszcze dwa lata temu, gdyby zawalił się budynek, stalibyśmy z boku i bezczynnie się przyglądali – przyznaje Gideon. Od tamtego czasu zarówno on, jak i jego koledzy przeszli szkolenia organizowane przez Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej (PCPM), które przy wsparciu finansowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych prowadzi w położonym w centralnej części kraju hrabstwie Kiambu Centrum Szkoleń Strażackich i Ratowniczych. Znajdują się tam jedyny w Afryce Wschodniej kryty symulator pożarowy, wykorzystywany również do ćwiczeń z ratownictwa linowego, a także poligon do działań poszukiwawczo-ratowniczych podczas katastrof budowlanych, stacja do symulacji wypadków drogowych oraz nowoczesna sala wykładowa. – Szacujemy, że wyszkoliliśmy ok. 70 proc. strażaków w Kenii. Obecnie jest ich mniej więcej 1,7 tys., z czego 17 proc. to kobiety – wylicza Darek Zalewski z PCPM. Kiedy fundacja rozpoczynała projekt w 2014 r., strażaków było zaledwie 450, choć Kenia liczyła już wówczas ponad 46 mln mieszkańców (dziś populacja kraju liczy ponad 58 mln).

Gideon został strażakiem po tym, jak jego brat zginął w pożarze. Podkreśla, że od szkolenia PCPM, które przeszedł w 2023 r., kompetencje i wyposażenie ratowników znacząco się poprawiły. – Dziś w samym hrabstwie Nairobi jest ok. 290 strażaków. To oczywiście najwięcej spośród wszystkich hrabstw w Kenii – zaznacza. – Wciąż jesteśmy jednak daleko od miejsca, w którym powinniśmy być. Potrzebujemy więcej strażaków, kolejnych szkoleń i lepszego sprzętu – podkreśla.

Weźmy oczywisty przykład: wozy strażackie. Kenia w dużej mierze otrzymuje je od bogatszych partnerów, m.in. Chin czy Wielkiej Brytanii. – Przekazują nam wóz, który działa świetnie aż do momentu pierwszej awarii. Później pojawia się problem z częściami zamiennymi albo serwisem i kończy się na tym, że samochody stoją nieużywane – wyjaśnia Darek Zalewski.

Co prawda PCPM znalazło rozwiązanie tego problemu, ale na razie trudno je wyskalować. Pod nadzorem instruktora Przemka Rembielaka powstał wóz strażacki zbudowany na podwoziu Isuzu, jednej z najpopularniejszych marek samochodów ciężarowych w Kenii. Jeśli zepsuje się któryś z elementów, np. pompa, można ją szybko wymontować, przewieźć do serwisu i wymienić na inną, dzięki czemu samochód nie będzie wyłączony z użytkowania na czas naprawy. Pytanie, czy poza prototypem uda się wyprodukować więcej takich pojazdów, pozostaje wciąż otwarte.

Wozy strażackie to tylko wierzchołek góry lodowej. Według PCPM w Kenii wciąż brakuje kompleksowego podejścia do bezpieczeństwa: sprawnego, ogólnokrajowego systemu reagowania na katastrofy budowlane, a także jasnego podziału ról i skutecznej koordynacji między służbami.

Kto poniesie odpowiedzialność

Moi rozmówcy uważają jednak, że kolejne tragedie powoli skłaniają polityków i firmy deweloperskie do bardziej zdecydowanych działań. Samuel Kahura, szef Stowarzyszenia Strażaków (CFOA) twierdzi, że z powodu gwałtownego wzrostu liczby katastrof budowlanych władze zaczęły bardziej rygorystycznie wymagać przestrzegania przepisów. – Są teraz bardzo surowe – przekonuje Kahura.

Zmianę podejścia potwierdza George, który po kilku tygodniach wrócił na budowę, na której doszło do wypadku. Teren został zabezpieczony specjalnymi siatkami, a prace prowadzone z większym poszanowaniem zasad bezpieczeństwa. – Myślę, że zmierzamy w dobrym kierunku, ale jeśli chodzi o rząd, to jest jeszcze trochę do poprawy. Chodzi przede wszystkim o nadzór nad placami budowy i regularne kontrole. Są bardzo potrzebne – podkreśla George.

Sam do pracy na budowie nie chce już wracać. Wypadek był dla niego traumatycznym przeżyciem. – Kiedy przejeżdżam obok jakiejkolwiek budowy, przez cały czas wracają do mnie obrazy tego, co się wydarzyło – mówi. Dlatego gdy dostał propozycję pracy przy układaniu kostki brukowej, od razu postanowił z niej skorzystać.

Ci, którzy dopuścili do katastrofy, najprawdopodobniej nie poniosą odpowiedzialności. Według Stowarzyszenia Inżynierów w Kenii od 1996 r. zawaliło się ponad 200 budynków, w wyniku czego zginęło ponad 200 osób. Za każdym razem wszczynane były dochodzenia, ale niewiele z nich zakończyło się poważnymi konsekwencjami prawnymi.

Rząd jest jednak pod coraz silniejszą presją, aby skutecznie rozliczać osoby odpowiedzialne za wypadki na budowach. Rosnące w siłę pokolenie Z regularnie wychodzi na ulice, aby protestować przeciwko trudnej sytuacji ekonomicznej i niesprawiedliwościom systemu. W 2024 r. demonstranci zmusili prezydenta Williama Ruto do wycofania się z planowanych podwyżek podatków i doprowadzili do dymisji jego gabinetu. Młodzi Kenijczycy byli oburzeni tym, że gdy państwo coraz bardziej się zadłuża, wielu polityków obnosi się w mediach społecznościowych z luksusowym stylem życia. Do kolejnych protestów nie zniechęciła ich nawet brutalność policji, która – według organizacji Kenya National Commission on Human Rights – podczas demonstracji w 2024 r. zastrzeliła co najmniej 39 osób. ©℗

eprasa.pl 619bc0a215

Gospodarka

W stronę niezrównoważonej wielobiegunowości

Geopolityka będzie w coraz większym stopniu zorganizowana wokół bloków. To, do którego bloku należy dane państwo, będzie zależeć w dużej mierze od jego relacji gospodarczych i politycznych z innymi

Z Timem

Figuresem

rozmawia Łukasz Wilkowicz

Czy zmierzamy do wojny?

Wojny Rosji z Zachodem? Cóż, są ludzie, którzy powiedzieliby, że Rosja od dłuższego czasu na wiele sposobów pozostaje w konflikcie z Zachodem. A wszystko zależy od tego, jak zdefiniujemy wojnę, ale obejmuje to takie działania jak cyberataki, próby wpływania na wybory i podobne aktywności.

Moje pytanie dotyczyło gorącej wojny. Mamy wiele przykładów wrogich działań Kremla wobec Europy Zachodniej, Polski i innych państw NATO.

Konflikty, z którymi mamy obecnie do czynienia, mogą rozwijać się na wiele różnych sposobów. Prowadzi to do szerszej kwestii, o której często mówię, gdy rozmawiam o geopolityce. Dziś najlepszy opis świata, w którym żyjemy, jest taki: jest on coraz bardziej niepewny i wielobiegunowy. Dlatego rządy i firmy muszą



FOT. EVERETT COLLECTION/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 619bc0a215

planować różne scenariusze, zamiast zakładać, że potrafią przewidzieć konkretną przyszłość.

Obserwujemy wzrost wydatków obronnych w Europie Zachodniej w odpowiedzi na działania Moskwy. Czy to właściwa reakcja? A może to gest polityczny, za pomocą którego politycy próbują zdobyć poparcie? Albo może stoją za tym firmy zbrojeniowe?

Zgadzam się z opinią Maria Draghiego, którą zawarł w swoim raporcie sprzed kilku lat dotyczącym przyszłości Wspólnoty. Napisał, że przez poprzednie 20 lat UE opierała swój wzrost na trzech czynnikach geopolitycznych oraz gospodarczych. Po pierwsze, korzystała z otwartego globalnego środowiska handlowego, w którym mogliśmy sprzedawać produkty i kupować je od kogokolwiek chcieliśmy, bez istotnych barier handlowych. Po drugie, korzystała z konkurencyjnych cen energii; a te bardzo wzrosły po inwazji Rosji na Ukrainę, a obecnie dodatkowo przez kryzys na Bliskim Wschodzie. Po trzecie, istniało, jak określił Draghi, łagodne i łatwe środowisko bezpieczeństwa. Wyzwań było niewiele, a UE w dużej mierze polegała na Stanach Zjednoczonych jako gwarancie spokoju.

Żaden z tych trzech warunków już nie występuje.

Dlatego, po pierwsze, musimy uznać, że funkcjonujemy w zupełnie innym środowisku bezpieczeństwa. Po drugie, zmieniająca się pozycja geopolityczna Ameryki oznacza, że oczekuje ona od rządów europejskich ponoszenia większej części kosztów własnej obrony. Oczekuje też większego zaangażowania w zaspokajanie potrzeb obronnych Ukrainy. Rządy reagują więc adekwatnie do sytuacji geopolitycznej, z którą muszą się mierzyć. Nie sądzę, by był to polityczny spektakl.

Jeszcze kilka lat temu przeciwdziałanie zmianom klimatu było jednym z głównych celów Wspólnoty. UE chciała ograniczać emisje, ale teraz nie wydaje się to już takie ważne.

Komisja Europejska przedstawiła w lipcu plan dotyczący kolejnego etapu ustalania cen emisji dwutlenku węgla. To, co zaproponowała, jest zgodne z celem redukcji emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 r., z czego 85 proc. ma zostać osiągnięte wewnątrz UE. Jest to też zgodne ze ścieżką prowadzącą do osiągnięcia neutralności emisyjnej do 2050 r. Komisja Europejska przedstawiła więc propozycję, którą uważa za zgodną z dotychczasową ścieżką dekarbonizacji. Nie sądzę więc, by Unia znacząco wycofywała się z działań klimatycznych. Widzę jednak dwie istotne zmiany...

Jakie?

Pierwszą jest znacznie większy nacisk na bezpieczeństwo energetyczne. UE przeszła przez pierwszą zimę po rosyjskiej inwazji na Ukrainę dzięki znacznemu ograniczeniu popytu na gaz. Zdekarbonizowany system energetyczny jest mniej podatny na tego rodzaju wstrząsy.

Ale nie da się tego osiągnąć w rok czy dwa lata.

Nie da się. Gdybyśmy jednak przestali zmierzać w tym kierunku, w rzeczywistości zwiększyłoby to nasze problemy z bezpieczeństwem energetycznym, zamiast je złagodzić. O drugiej kwestii sam pan wspomniał. Myślę, że Komisja Europejska – analizuję to, co zawarła w swojej propozycji – przyznaje, że ten proces potrwa dłużej. Przyznaje też, że rządy i UE muszą zapewnić przedsiębiorstwom większe wsparcie w przeprowadzeniu transformacji. Wcześniej polityka w dużej mierze opierała się na wycenie emisji CO_2 i systemie ETS jako głównych mechanizmach mających skłaniać do zmian. Nowe propozycje mówią, iż wycena emisji musi funkcjonować obok międzynarodowych kredytów węglowych, pochłaniania dwutlenku węgla oraz większego wsparcia ze strony państwa. Celem jest realizacja tego, co Draghi określa jako dekarbonizację, w której na pierwszym miejscu stawia się konkurencyjność.

Chciałbym zapytać o politykę fiskalną w Europie, choć sytuacja w Ameryce też specjalnie się nie różni. Czy jest możliwe utrzymywanie dużych deficytów? W Polsce od trzech lat mamy deficyt fiskalny na poziomie ok. 7 proc. PKB.

To debata, która toczy się nawet poza Unią. W Wielkiej Brytanii to też bardzo gorąca kwestia. Pytanie: w jaki sposób rządy mogą finansować obronność, ochronę zdrowia, emerytury czy transformację klimatyczną, a jednocześnie utrzymywać deficyty budżetowe na rozsądnym poziomie?

Czy rządy będą zmuszone przywrócić dyscyplinę fiskalną?

W strefie euro obowiązuje Pakt stabilności i wzrostu.

I nie jest przestrzegany.

Nie jest. Chodzi bardziej o trwałość zadłużania się państw. W moim kraju, Wielkiej Brytanii, toczy się ważna debata przed prezentacją budżetu w przyszłym miesiącu. Dotyczy zadłużania się państwa i tego, jak sprawić, by było ono na zrównoważonym poziomie.

W praktyce to rynek pokazuje, czy można wydawać.

Właśnie. Ostatecznie to rynki obligacji decydują o wykonalności budżetów. Przed nami także ważne wybory w 2027 r.: prezydenckie we Francji oraz parlamentarne w Polsce, we Włoszech i w Hiszpanii. W czterech bardzo dużych krajach UE – trzech ze strefy euro – kwestie budżetowe będą, jak sądzę, bardzo istotnym elementem debaty.

> Unia Europejska ma tendencję do inwestowania w tradycyjne sektory, takie jak przemysł motoryzacyjny. Natomiast inwestycje w USA koncentrują się przede wszystkim na nowoczesnych technologiach.

Jak pana zdaniem będzie wyglądał porządek światowy za 10 lat?

Trzeba myśleć o kilku scenariuszach. Jedna skrajność to powrót do uporządkowanego świata opartego na globalnej współpracy, podobnego do tego, który mieliśmy. Druga skrajność: świat intensywnych konfliktów. Najbardziej prawdopodobny wariant jest pomiędzy. To niezrównoważona wielobiegunowość: geopolityka będzie w coraz większym stopniu zorganizowana wokół bloków. To, do którego bloku będzie należało dane państwo, będzie zależeć w dużej mierze od jego relacji gospodarczych i politycznych z innymi. Nadal odbywałby się handel, nadal istniałaby współpraca, ale tylko do pewnego stopnia.

Jakie byłyby główne bloki? I czy Europa mogłaby być jednym z nich?

Dwóm blokom z pewnością będą przewodzić Stany Zjednoczone oraz Chiny. UE, czy szerzej Europa, jest obecnie takim blokiem, ale to, czy nim pozostanie, zależy w dużej mierze od wizji przyszłości Wspólnoty. Może to również zależeć od wyników części wyborów, które odbędą się w 2027 r. Partie będą przedstawiały różne pomysły na to, czym ich zdaniem powinna stać się Unia: czy powinna nadal być blokiem coraz głębiej się integrującym, czy stać się luźniejszym stowarzyszeniem państw współpracujących ze sobą. Kiedy są wybory w Polsce?

W październiku przyszłego roku.

Wyobrażam sobie, że partie zawrą w programach m.in. preferowany model relacji Warszawy z Brukselą. Zakładam, że będzie różnica między podejściem obecnego rządu a stronnictwami opozycyjnymi. To samo będzie oczywiście dotyczyć Francji, Włoch i Hiszpanii.

We Francji rosnącą popularnością cieszy się Zjednoczenie Narodowe, w Polsce mamy Konfederację – a raczej dwie Konfederacje, w Niemczech polityczne triumfy święci AfD. To partie, które jeszcze niedawno nazwalibyśmy skrajną prawicą. Jak ich polityczne sukcesy mogą się przełożyć na przyszłość Unii?

Widzieliśmy niedawne sukcesy wyborcze AfD w wyborach landowych we wschodnich Niemczech. Wiele będzie zależało od wyników przyszłorocznych wyborów. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł to teraz przewidzieć.

Pytałem o perspektywę 10 lat, ale w dłuższym okresie co będzie decydować o znaczeniu państw i kontynentów? Demografia? Czy coś innego?

To będzie wiele czynników, w tym te, które tradycyjnie mają znaczenie. Jednym z nich jest demografia. Innym – dostęp do zasobów naturalnych. Ważne będą również siła militarna i technologia. Trzeba będzie równoważyć wszystkie te czynniki, szczególnie w świecie, na który coraz większy wpływ będą miały zmiany technologiczne, takie jak sztuczna inteligencja.

Zastanawiam się nad losem Europy. Jeśli chodzi o demografię, to perspektywy są złe. Zasoby naturalne to kolejny problem. W technologii pozostajemy za Stanami Zjednoczonymi, Chinami i Azją Wschodnią. Co może być siłą Europy?

Znów spójrzmy na to, co Draghi napisał w raporcie, bo moim zdaniem przedstawił dobrą analizę problemu. Stwierdził, że jeśli Europa chce utrzymać dotychczasowy system społeczny i gospodarczy – a to jasno wynika z deklaracji wyborców – musi rozwijać się szybciej niż obecnie. UE rośnie być może o 1–1,5 proc. rocznie. Zdaję sobie sprawę, że Polska rozwija się szybciej – być może dwa razy szybciej niż wynosi średnia UE – więc jest w lepszej sytuacji niż wiele unijnych krajów. Jeśli jednak spojrzeć szczególnie na Francję czy Niemcy, widać wyraźne spowolnienie. Wynika to z tego, że UE nie inwestuje w firmy i branże generujące najwyższy wzrost. Jeśli szukać największej różnicy między USA a UE, jest to istotna część wyjaśnienia. Unia ma tendencję do inwestowania w tradycyjne sektory, takie jak przemysł motoryzacyjny. Natomiast inwestycje w USA koncentrują się przede wszystkim na technologii. UE ma znaczące atuty. Dysponuje kapitałem i dużym potencjałem innowacji technologicznych. Ma jednak problem z przekształcaniem tego kapitału intelektualnego w źródło wzrostu gospodarczego. Myślę, że to kluczowe wyzwanie.

Jakie proste kroki Europa mogłaby podjąć, by poprawić sytuację? Może unia rynków kapitałowych?

Unia Oszczędności i Inwestycji jest jednym z takich rozwiązań.

Ale nadal mamy osobne giełdy we Frankfurcie, w Paryżu. I Londynie. ▷

eprasa.pl 619bc0a215

I w Szwecji. Nie zapominajmy o niej, bo tam poziom wynalazczości i innowacyjności w IT jest wysoki. Potencjalne rozwiązania są znane. Pytanie brzmi, czy te rozwiązania – one zwykle oznaczają większą integrację – nie stoją w sprzeczności z polityką rządów krajowych i kierunkiem, w którym chcą one zmierzać. To bardzo ważny wybór strategiczny, którego UE i jej kluczowe państwa członkowskie będą musiały dokonać w ciągu najbliższego roku lub w nieco dłuższej perspektywie.

Może więc Europa albo poszczególne kraje europejskie powinny pomyśleć o rozwiązaniach innych niż głębsza integracja?

Główną przewagą gospodarczą Unii Europejskiej jest jej skala. Jeśli spojrzeć na wielkość jednolitego rynku pod względem liczby ludności, jest ona porównywalna ze Stanami Zjednoczonymi. Jeśli jednak spojrzeć na UE jako na 27 odrębnych państw członkowskich, widać, że mamy do czynienia z grupą bardzo różnych krajów. Niektóre, takie jak Polska czy Niemcy, są duże, ale pojedynczo nie zbliżają się do skali potrzebnej do konkurowania w wielobiegunowym świecie. To ważny wybór strategiczny, którego musi dokonać UE. Czy chce dalej się integrować, zachować swoją skalę i umocnić pozycję jako blok w coraz bardziej wielobiegunowym świecie? Czy też chce pójść w innym kierunku i przyjąć podejście w większym stopniu oparte na państwach członkowskich?

Rozmawiamy o państwach, ale być może za 10 lat firmy będą odgrywać większą rolę niż państwa. Czy pojedyncza firma może się stać ważniejsza niż pojedyncze państwo?

Można wyobrazić sobie scenariusz, w którym niewielka liczba bardzo dużych firm – prawdopodobnie amerykańskich firm technologicznych, może chińskich – stanie się tak potężna, że będzie miała znaczący wpływ na sposób funkcjonowania świata.

Jeśli hiperskalerzy staną się tacy potężni, czy średniej wielkości kraje, takie jak Polska, będą w stanie w jakikolwiek realny sposób się im przeciwstawić?

Nie sądzę, by należało ujmować to jako konfrontację. Istnieje też kwestia regulacji – a Unia umie się nimi posługiwać. Jeśli spojrzeć na przepisy dotyczące AI, prawo konkurencji i podobne obszary, to UE skutecznie zmuszała – albo może: wymagała – od części tych firm, szczególnie amerykańskich, zmiany sposobu działania. Interesujące było również obserwowanie w ostatnich tygodniach, jak niektóre z największych firm zajmujących się AI argumentują za regulacjami, które spowolniłyby tempo rozwoju sztucznej inteligencji. W tej kwestii zaczynają się ujawniać różnice zdań między USA a UE.

Wróćmy do Polski: czego potrzeba, by kraj średniej wielkości, bez jednej spektakularnej przewagi, stał się widocznym graczem w Europie lub na świecie? Byliśmy obecni na spotkaniu G20 w Stanach Zjednoczonych w sierpniu. To było duże osiągnięcie naszego ministra finansów. Ale czy w rzeczywistości coś to znaczy?

G20 ma wiele zalet, bo skupia zróżnicowaną grupę gospodarek rozwiniętych i rynków wschodzących. W świecie, w którym państwa muszą ze sobą współpracować, to jest użyteczny format. Powiedziałbym jedynie, że w bardziej wielobiegunowym świecie – szczególnie gdy obejmuje on państwa o różnych poglądach i należące do różnych biegunów – G20 może mieć trudności ze znajdowaniem obszarów porozumienia i konsensusu. Mimo to ważne jest, by te państwa nadal się spotykały, rozmawiały ze sobą i próbowały osiągać porozumienie w tych obszarach, w których są w stanie znaleźć wspólną drogę naprzód.

Co się dzieje w Wielkiej Brytanii? Pierwsi ministrowie Walii i Szkocji wydali oświadczenie, w którym znów, jak się wydaje, domagają się większej niezależności. Czy przyszłość oznacza rozpad Zjednoczonego Królestwa? A może ludzie uważają, że właściwym wyborem byłby powrót do UE? Co się u was dzieje?

Dzieje się wiele. Po pierwsze, pierwsi ministrowie Szkocji, Walii i Irlandii Północnej reprezentują partie nacjonalistyczne. To pierwszy przypadek, gdy taka sytuacja występuje jednocześnie we wszystkich trzech częściach kraju.

Pan jest Anglikiem?

Tak. Mamy też nowego premiera, który opowiada się za większą decentralizacją. Uważa, że Zjednoczone Królestwo – przy czym ma na myśli szczególnie Anglię – jest zbyt scentralizowane. Dlatego więcej władzy należy przekazać regionom, gminom i władzom lokalnym w Anglii. Interpretuję oświadczenie trzech celtyckich narodów jako komunikat: nie zapominajcie, że Zjednoczone Królestwo to coś więcej niż tylko Anglia. Jeśli koncentrujecie się na decentralizacji w Anglii, musicie też się zastanowić, jakie dodatkowe kompetencje można przekazać Szkocji, Walii i Irlandii Północnej.

Czyli niekoniecznie był to apel o rozwiązanie Zjednoczonego Królestwa?

Pierwsi ministrowie reprezentują partie nacjonalistyczne: Plaid Cymru, Szkocką Partię Narodową i Sinn Féin. Wszystkie te ugrupowania prowadziły kampanie, jasno deklarując, że chcą oddzielenia od Zjednoczonego Królestwa. Nie dziwi mnie więc, że tego się teraz domagają. Myślę jednak, że na tym etapie naprawdę zależy im na właściwym uznaniu zdecentralizowanego charakteru Zjednoczonego Królestwa. Chcą ponownie skierować debatę na siebie, zamiast pozwolić, by koncentrowała się wyłącznie na Anglii, jak dzieje się od objęcia urzędu przez nowego premiera.

A co z relacjami Wielkiej Brytanii z UE? Czy Brytyjczycy są zadowoleni z obecnej sytuacji?

Nie są. Jeśli spojrzeć na sondaże, to widać, że jest znacząca większość, która powiedziałaby, że brexit był błędem, że nie przebiega dobrze albo że nie przyniósł tego, czego się spodziewała. Nie ma jednak wyraźnej większości opowiadającej się za powrotem do Unii. Obecny rząd powiedział, że chce bliższych relacji z UE, ale utrzymał bardzo wyraźne czerwone linie dotyczące jednolitego rynku i unii celnej. Te czerwone linie utrudniają zbudowanie bardzo szerokich relacji, na co regularnie zwracają uwagę urzędnicy Komisji Europejskiej.

Polska w znacznym stopniu dogoniła poziom rozwoju UE. Pod względem PKB według parytetu siły nabywczej Polska i Wielka Brytania mogą już być na dość podobnym poziomie. Pamiętajmy też, że ok. 20 lat temu do Wielkiej Brytanii wyjechały do pracy 1 mln lub 2 mln Polaków. Jak gospodarcze doganianie Polski jest postrzegane w Wielkiej Brytanii? Czy w ogóle jest zauważane?

Odpowiedź zależy od tego, z kim pan rozmawia. Jeśli spojrzeć na ogromny wzrost gospodarczy Polski i udaną transformację gospodarki po komunizmie w dynamiczną gospodarkę rynkową o wysokim tempie wzrostu, to jest to fantastyczna historia sukcesu. Polska jest dziś w pełni zintegrowana z europejskim jednolitym rynkiem i – szerzej – z europejską gospodarką. To dobra wiadomość dla Polski. Jeśli przeanalizować tempo wzrostu PKB Polski, które jest dwa lub trzy razy wyższe niż w Europie Zachodniej, w tym w Wielkiej Brytanii, albo wziąć pod uwagę prognozy sugerujące, że poziom polskiego PKB może za 10 lub 15 lat zrównać się z brytyjskim – zależnie od tego, którym prognozom wierzyć – jest to bardzo interesujące. Niektórzy mogliby powiedzieć, że odzwierciedla to wyzwania stojące przed Wielką Brytanią w takim samym stopniu, jak sukcesy Polski. Nie chciałbym jednak, aby ta uwaga umniejszała wielki sukces gospodarczy, który dokonał się tutaj w ciągu ostatnich 20 lat członkostwa w UE. ©℗


FOT. MAT. PRASOWE

Tim
Figures
partner i associate director zajmujący się obszarem UE oraz globalnego handlu i inwestycji w The Boston Consulting Group w Londynie

Pracownik, który dzięki sztucznej inteligencji kończy zadanie szybciej, może w nagrodę dostać kolejne obowiązki. Firma korzysta z jego pomysłowości, lecz zarazem daje mu powód, by następne usprawnienie zachował dla siebie

Błażej
Sajduk

W 1930 r. John Maynard Keynes przewidywał, że za 100 lat stopa życiowa w krajach rozwiniętych wzrośnie cztery–osiem razy, i wyobrażał sobie, że pokoleniu wnuków wystarczy 15-godzinny tydzień pracy. Do wyznaczonego terminu zostały cztery lata. Bogactwa rzeczywiście przybyło, ale tydzień pracy skrócił się znacznie mniej, niż zakładał Keynes. Ekonomiści, którzy po latach wrócili do jego eseju, np. Robert Solow, zarzucali mu, że za mało uwagi poświęcił podziałowi dochodów.

Dziś firmy kupują agentów AI, aby oszczędzać godziny pracy w biurach. Skala faktycznego wykorzystywania tych narzędzi będzie zależała także od tego, czy pracownicy otrzymają wyraźny powód, by ujawniać skuteczne sposoby ich używania.

Pierwsze badania potwierdzają, że narzędzia sztucznej inteligencji rzeczywiście mogą oszczędzać czas. W jednej z firm z listy Fortune 500, sprzedającej oprogramowanie biznesowe, asystent AI podpowiadał odpowiedzi konsultantom obsługi klienta. Liczba spraw rozwiązywanych w ciągu godziny wzrosła średnio o 15 proc. Erik Brynjolfsson, Danielle Li i Lindsey Raymond opisali ten wynik w opublikowanym w 2025 r. badaniu obejmującym ponad 5 tys. pracowników. Pomiar potwierdza wzrost wydajności, nie pokazuje natomiast, kto przejął korzyść z odzyskanych godzin ani czy zatrudnieni mieli powód, by dzielić się własnymi usprawnieniami.

Pracownicy w Danii, ankietowani przez Andersa Humluma i Emilie Vestergaard, deklarowali korzyści z używania chatbotów, a ich pracodawcy zmieniali podział zadań. Autorzy nie wykryli statystycznie istotnego przeciętnego wpływu tych narzędzi ani na zarobki, ani na godziny pracy odnotowane w rejestrach w pierwszych dwóch latach po premierze ChatGPT, czyli do końca 2024 r. Przedziały ufności wykluczały przeciętne efekty większe niż 2 proc. Z deklaracji użytkowników wynika oszczędność ok. 3 proc. czasu pracy. Spośród użytkowników, którzy oszczędzali czas, 85 proc. przeznaczało go na inne zadania, ok. 7 proc. na dodatkowe przerwy, a ok. 6 proc. na czas wolny.

eprasa.pl 619bc0a215

PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Aktywów Państwowych

Ministerstwo Energii

Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Ministerstwo Rozwoju i Technologii

PARTNER STRATEGICZNY:

asseco

Kto zarabia na czasie zaoszczędzonym dzięki AI?



FOT. PROSTOCKSTUDIO/SHUTTERSTOCK

Agentowi AI, inaczej niż chatbotowi, użytkownik może powierzyć zadanie wymagające wielu kroków. Program sam dobiera kolejne działania i korzysta z udostępnionych narzędzi, np. przeszukuje materiały i przygotowuje dokumenty. To, jak bardzo jest samodzielny i do których czynności potrzebuje zgody człowieka, zależy od konfiguracji. Zaoszczędzone w ten sposób godziny mogą przypaść pracownikowi, firmie albo jej klientom. Zasady ich podziału wpływają zarazem na to, czy skuteczne zastosowanie agenta zostanie w firmie ujawnione.

Powody milczenia

Załóżmy, że analityk z pomocą agenta przygotowuje raport w dwie godziny zamiast ośmiu. W tym czasie sprawdza źródła, poprawia błędy i ocenia wnioski, więc dokument zachowuje wcześniejszą jakość. Pracodawca może zlecić pracownikowi następny raport. Dla autora skuteczniejszej metody sześć odzyskanych godzin jest argumentem za podwyżką albo krótszym dniem w biurze. Klient może z kolei oczekiwać niższej ceny usługi. Każde z tych oczekiwań ma ekonomiczne uzasadnienie, a o podziale korzyści zdecydują warunki umowy i siła przetargowa stron, w tym popyt na kompetencje analityka i jego szanse na znalezienie innej pracy. Firma również ponosi ryzyko, bo jeśli nie określi z góry, co pracownik dostanie za ujawnienie metody, nauczy go milczeć o tym, co potrafi agent. Przełożony może odczytać jego milczenie jako opór wobec zmiany, choć podwładny obawia się jedynie pogorszenia warunków własnej pracy.

Ekonomiści mówią w takim przypadku o efekcie zapadki, bo raz pokazany lepszy wynik staje się nową normą, którą trudno obniżyć, choć pracownik nie dostał niczego w zamian. Frederick Taylor już ponad 100 lat temu pisał o robotnikach celowo spowalniających pracę, ponieważ lepszy wynik prowadził do obniżenia stawki akordowej. Ankieta KPMG i Uniwersytetu w Melbourne z 2025 r. nie rozstrzyga, czy nieujawnianie użycia AI wynika z takich obaw, pokazuje jednak skalę takich zachowań. Spośród badanych, którzy korzystają z AI w pracy, 61 proc. przyznało, że zdarzało im się to ukrywać, a 55 proc. przedstawiało wygenerowane treści jako własne. Prawie połowa używała AI wbrew zasadom obowiązującym w firmie (44 proc.) albo wgrywała firmowe informacje, np. finansowe albo dotyczące klientów, do publicznie dostępnych narzędzi (48 proc.). Takie używanie narzędzi poza wiedzą i kontrolą pracodawcy nazywa się shadow AI. Pracodawca nie wie wtedy, jakimi metodami pracownik skraca pracę ani dokąd trafiają firmowe informacje, więc trudno mu też ocenić uzyskane oszczędności i ryzyko związane z użyciem tych narzędzi. W rezultacie firma może sfinansować narzędzia zwiększające wydajność, a następnie przez niewłaściwe reguły rozliczania pozbawić się wiedzy o ich rzeczywistych możliwościach.

Rachunek pracownika zmienia dopiero wiarygodna obietnica udziału w korzyściach, określająca zarówno formę wynagrodzenia, jak i moment jego przyznania. Nie wystarczy zapewnienie, że „wszyscy kiedyś skorzystają".

Źródłami oszczędności (w naszym przykładzie sześciu odzyskanych godzin) są pomysłowość pracownika, który potrafił postawić właściwe pytanie i rozpoznać błąd, a także zaplecze przedsiębiorstwa, czyli opłacone narzędzia, dane oraz ponoszone ryzyko działalności. Samo ustalenie, kto wpisał polecenie i kto opłacił abonament, nie wystarcza do podziału nadwyżki. Reguły powinny również wyceniać wiedzę pracownika i tworzyć zachętę do przekazania jej organizacji.

Cena rezultatu

W przypadku samodzielnego specjalisty o opłacalności usprawnienia przesądza model rozliczenia. Niezmieniona stawka godzinowa sprawia, że szybsze wykonanie zlecenia obniża honorarium. Cena ustalona za rezultat, przynajmniej dopóki klienci nie wynegocjują niższych cen, pozwala wykonawcy zachować korzyść z zaoszczędzonego czasu. Może on przyjąć dodatkowe zlecenie, skrócić dzień pracy albo przeznaczyć godziny na rozwój metody. Taka swoboda może skłonić specjalistę zatrudnionego na etacie do przejścia na własny rachunek, o ile potrafi zdobywać klientów, finansować narzędzia i oceniać wyniki agentów. Potrzebne są przy tym precyzyjne ustalenia dotyczące zakresu usługi, wymaganej jakości, zasad przyjęcia gotowej pracy i liczby poprawek. Bez nich kolejne żądania klienta pochłoną odzyskane godziny, a motywacja do inwestowania w następne usprawnienia osłabnie. Wśród tych ustaleń powinien się znaleźć także dopuszczalny zakres korzystania z AI.

Znaczenie takich ustaleń pokazuje wyrok Sądu Rejonowego Poznań-Stare Miasto w Poznaniu z 13 sierpnia 2020 r. (sygn. akt XII GC 669/17). Według opublikowanego omówienia wyroku biuro tłumaczeń domagało się zapłaty za przekład przygotowany z wykorzystaniem Google Translate. Tekst zawierał liczne błędy i nie nadawał się do uzgodnionych zastosowań profesjonalnych. Sąd I instancji oddalił powództwo ▷

eprasa.pl 619bc0a215

Nawet niewielki, z góry określony udział w odzyskanym czasie może jednak sprawić, że pracownik będzie zgłaszał kolejne usprawnienia, zamiast zatrzymywać je dla siebie

o zapłatę, więc wykonawca na tym etapie honorarium nie dostał.

Strony mogą też z góry uzgodnić sposób sprawdzania wyników, zasady ochrony danych i to, czy udział AI wpływa na cenę. Przy wynagrodzeniu za rezultat wykonawca może skorzystać z oszczędności czasu, jeśli dostarczy usługę spełniającą uzgodnione wymagania.

Krzysztof Drzymała zastanawiał się w tekście „AI w M&A: tańsza obsługa transakcji czy nowa premia za judgment?" (eDGP, 22 lipca 2026 r.), czy AI w fuzjach i przejęciach obniży koszt obsługi transakcji, czy raczej podniesie cenę oceny specjalisty. Przejście na cenę za rezultat ma jednak drugą stronę, bo wykonawca nie zatrzymuje całej oszczędności. Musi wliczyć w tę cenę czas potrzebny na pozyskiwanie klientów, utrzymanie narzędzi i przerwy między zleceniami. Jednocześnie konkurencja wywiera presję na ceny usług, które dzięki AI stały się łatwiejsze do wykonania. Własna działalność może więc dawać większą kontrolę nad odzyskanym czasem, lecz przy dochodzie zbliżonym do pensji obciąża specjalistę większym ryzykiem. Także w tym przypadku gotowość do rozwijania i ujawniania metod pracy zależy od tego, czy oczekiwana korzyść przewyższa dodatkowe koszty.

Firma ma z kolei własne powody, by nie rozliczać wszystkiego za rezultat. Etat zapewnia jej ciągłość pracy oraz dostęp do ludzi, którzy znają klientów i potrafią współdziałać przy problemach trudnych do opisania z góry. Wynagrodzenie obejmuje niekiedy gotowość do zajęcia się nietypową sytuacją. Obejmuje również wartość osądu doświadczonego pracownika, który potrafi stwierdzić, że zamówiony raport nie będzie użyteczny i należy zmienić kierunek pracy. Liczba dostarczonych dokumentów nie oddaje dobrze tego wkładu. System zachęt powinien go uwzględniać, ponieważ to właśnie taka wiedza pozwala oceniać agentów i wskazywać usprawnienia warte upowszechnienia.

Forma zatrudnienia nie przesądza jeszcze o sposobie wynagradzania. Umowa o pracę może łączyć stałą płacę z premią za wyniki lub za zgłoszone usprawnienie. Kodeks pracy dopuszcza też zadaniowy czas pracy, gdy uzasadnia go rodzaj, organizacja lub miejsce wykonywania pracy. Pracodawca ustala wówczas, po porozumieniu z pracownikiem, czas potrzebny na wykonanie zadań w granicach norm i nie ewidencjonuje godzin pracy. Samo korzystanie z agentów AI nie uzasadnia przeniesienia pracownika na samozatrudnienie. Gdy współpraca zachowuje cechy stosunku pracy, kodeks zabrania zastępowania umowy o pracę umową cywilnoprawną, a od 8 lipca 2026 r. okręgowy inspektor pracy może stwierdzić decyzją istnienie stosunku pracy ukrytego pod umową B2B, jeżeli wcześniejsze polecenie usunięcia naruszenia nie zostało wykonane. W każdym z tych modeli odrębnie trzeba określić, co otrzyma osoba ujawniająca rozwiązanie zwiększające wydajność.

Co pomija rozliczenie za wynik

Godzina pracy służy rozliczeniu nakładu i wyznacza granicę czasu oddanego do dyspozycji pracodawcy. AI zmniejsza jej użyteczność jako miary wysiłku potrzebnego do przygotowania raportu. Nie usuwa jednak potrzeby oddzielenia pracy od odpoczynku, także wtedy, gdy przez większość czasu zadanie wykonuje agent. Przejrzysta granica ma znaczenie również dla bodźców. Pracownik chętniej ujawni automatyzację, jeśli nie spowoduje ona rozszerzenia jego dyspozycyjności na cały dzień.

Wyobraźmy sobie, że pracownik uruchamia agenta przed wyjściem z biura, a analiza ma być gotowa rano. Wieczorem program przesyła pytanie wymagające zatwierdzenia dalszego działania. Sama odpowiedź zajmuje chwilę, wcześniej trzeba jednak przeczytać kontekst i podjąć decyzję. Samodzielne działanie agenta nie jest pracą człowieka. Czas i uwaga poświęcone na sprawdzanie wyników oraz interwencje już nią są. Jeżeli firma oczekuje ich regularnie, powinna je ująć w organizacji pracy. Rozliczenie wyłącznie za rezultat ukrywa taki koszt, którego w zadaniowym czasie pracy może nie wykazać nawet ewidencja. Raport trafia do odbiorcy rano, jego autor spędza wieczór na sprawdzaniu telefonu, a przedsiębiorstwo zyskuje dostępność poza zwykłymi godzinami. Cena usługi lub zasady zatrudnienia powinny uwzględniać to oczekiwanie. W przeciwnym razie automatyzacja skracająca pracę nad raportem rozszerza podporządkowanie pracownika na cały wieczór i zmniejsza jego gotowość do ujawniania podobnych rozwiązań.

Łatwo przeoczyć także pracę, z której korzystają inni. Kilka dni poświęconych na przygotowanie automatyzacji może skrócić pracę całego zespołu, choć w tym samym czasie jej autor dostarczy mniej własnych raportów. Premia uzależniona wyłącznie od zadań przypisanych do konkretnej osoby osłabia zachętę do takiego wysiłku. Korzyść rozkłada się przecież na wielu zatrudnionych, a jej rozmiar zależy od liczby godzin odzyskanych przez współpracowników oraz od kosztów utrzymania automatyzacji i poprawiania błędów. Twórca rozwiązania zwiększającego wydajność innych powinien otrzymać za to wyższe wynagrodzenie. Bez takiej perspektywy bardziej opłacalne staje się używanie automatyzacji wyłącznie na własny użytek, niż przekazanie jej całej organizacji.

Po przejęciu rutynowych czynności przez agenta AI człowiekowi pozostają przede wszystkim trudne przypadki, sporne interpretacje i kontrola błędów. Godzina takiej pracy wymaga większego skupienia niż godzina przeplatana prostszymi zadaniami. Przyspieszenie części czynności nie dowodzi zatem, że pracownik zachowa jakość przy proporcjonalnie większej liczbie zleceń. Jeśli każda ujawniona automatyzacja prowadzi jedynie do intensyfikacji pozostałej pracy, racjonalną odpowiedzią może być zachowanie kolejnego rozwiązania dla siebie.

Oszczędności do podziału

Według Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w dobrowolnym i dofinansowanym pilotażu skracania czasu pracy przy zachowaniu wynagrodzenia uczestniczy w 2026 r. 78 pracodawców i niemal 5 tys. pracowników. Testują krótsze dni i tygodnie pracy oraz dodatkowe dni wolne. Regulamin wymagał skrócenia łącznego czasu pracy uczestników o co najmniej 10 proc. w pierwszym półroczu i o co najmniej 20 proc. w drugim bez obniżania wynagrodzeń. Wykonanie tej samej pracy w czasie krótszym o 20 proc. wymaga wzrostu wydajności na godzinę o 25 proc. Jeżeli firma utrzyma liczbę i jakość rezultatów oraz łączny koszt zatrudnienia, koszt pracy przypadający na rezultat się nie zmieni. Wzrost o 15 proc., zmierzony w obsłudze klienta przez Brynjolfssona i współautorów, pozwoliłby przy tej samej liczbie spraw skrócić czas pracy o 13 proc. Deklarowane w Danii 3 proc. to około pięciu godzin miesięcznie przy pełnym etacie, czyli mniej więcej jedno popołudnie, gdyby oszczędności z wielu dni dało się zebrać w jeden blok. Do rachunku trzeba doliczyć narzędzia i wdrożenie, jeśli to AI ma umożliwić redukcję czasu pracy. Zwykle przyspieszenie pojedynczego zadania przekłada się na mniejszą oszczędność w skali dnia, a możliwości poprawy wydajności zależą od rodzaju działalności. Nawet niewielki, z góry określony udział w odzyskanym czasie może jednak sprawić, że pracownik będzie zgłaszał kolejne usprawnienia, zamiast zatrzymywać je dla siebie.

W sklepie agent może wspierać zamawianie towarów i przygotowywanie dokumentacji. Placówka nadal potrzebuje jednak obsady przez wszystkie godziny otwarcia. Przyznanie czasu wolnego wyłącznie pracownikom administracyjnym może wywołać sprzeciw osób obecnych przez całą zmianę i osłabić ich gotowość do zgłaszania własnych usprawnień. Część wspólnych oszczędności można przeznaczyć na podwyżki dla tej grupy, dodatkową obsadę albo inne korzyści uzgodnione z zespołem. Wiarygodny podział nie musi być identyczny, powinien natomiast obejmować wszystkich, których praca umożliwia wykorzystywanie AI.

Zaoszczędzony czas może zwiększyć zysk firmy, jeżeli pozwoli obsłużyć dodatkowy popyt albo ograniczyć koszty. Oszczędność pieniężna powstaje dopiero wtedy, gdy usprawnienie pozwala ograniczyć wydatki. Nie każdy odzyskany kwadrans da się więc podzielić w gotówce. Każdy może się jednak stać przedmiotem reguły określającej korzyść za ujawnienie skuteczniejszej metody pracy. W podziale uczestniczy również dostawca technologii. Przedsiębiorstwo oszczędza godziny pracy analityka, część uzyskanej wartości wydaje jednak na kolejne próby podejmowane przez agenta. Niższa cena pojedynczej operacji może współistnieć z wyższym kosztem całego zadania, gdy program wykonuje wiele sprawdzeń, a człowiek poprawia jego błędy. Umiejętność rozpoznania momentu, w którym dalsze działania agenta przestają być opłacalne, ma zatem wymierną wartość. Pracownik mający tę wiedzę oszczędza firmie czas i ogranicza wydatki na AI, co powinno znaleźć odzwierciedlenie w zasadach nagradzania ujawnionych usprawnień.

Jeżeli firma utrzyma uzgodniony zakres pracy bez dodatkowej obsady, może oddać pracownikowi część odzyskanych godzin bez zwiększania funduszu płac. Po uwzględnieniu kosztów narzędzi da się uzgodnić, że przez określony okres część potwierdzonej oszczędności wróci do autora usprawnienia w postaci krótszej pracy. Premia może zostać powiązana z uzyskanymi korzyściami finansowymi lub potraktowana jak koszt pozyskania rozwiązania wartościowego dla całej organizacji. Znana wcześniej reguła daje pracownikowi dodatkowy powód, by ujawnić skuteczniejszy sposób działania, zanim wyższa wydajność zostanie uznana za bezwarunkową normę dla całego zespołu. Polskie prawo zna zbliżony mechanizm od dziesięcioleci, choć słowo „racjonalizator" brzmi dziś jak wycinek z zakładowej gazetki. Prawo własności przemysłowej pozwala przedsiębiorcy ustanowić regulamin racjonalizacji i uznać za projekt racjonalizatorski rozwiązanie nadające się do wykorzystania, jeśli nie jest ono wynalazkiem podlegającym opatentowaniu, wzorem użytkowym, wzorem przemysłowym ani topografią układu scalonego. To regulamin określa, jakie rozwiązania firma uznaje za takie projekty. Twórca projektu przyjętego do wykorzystania ma prawo do wynagrodzenia według regulaminu obowiązującego w dniu zgłoszenia, chyba że późniejszy jest dla niego korzystniejszy. Analityk zatrudniony w firmie stosującej podobne zasady znałby więc warunki, zanim ujawniłby, w jaki sposób skrócił przygotowanie raportu z ośmiu godzin do dwóch. Podział powinien obejmować również wkład osób uczestniczących w testach oraz obowiązki związane z utrzymaniem automatyzacji. Inaczej współpracownicy mogą zapłacić za cudzą premię własnym czasem, a system, zamiast zachęcać do dzielenia się wiedzą, da nowy powód do milczenia. ©℗

Autor jest adiunktem w Katedrze Bezpieczeństwa Narodowego Uniwersytetu Jagiellońskiego i współpracownikiem Nowej Konfederacji

eprasa.pl 619bc0a215


FOT. MAT. PRASOWE

Drespospolita Polska

Kamil **Stępniak**

Dużo mówi się o zaniku autorytetów, ale one nie zniknęły, tylko zmieniły swój adres. Nie przestaliśmy szanować ludzi mądrych. Przestaliśmy mieć dla nich czas. Trudno słucha się Łętowskiej, Gregorczyk-Abram czy Krzyżanowskiej-Mierzewskiej. Nie tylko dlatego, że ich poglądy niefortunnie rozpychają się w świecie maskulatywów. Trudno słucha się ich dlatego, że próbują mówić o ideach. A te są fatalnym produktem na rynku uwagi. W świecie, w którym na wyjaśnienie skomplikowanego zjawiska masz 15 sekund, łatwiej będzie to zrobić populiście. Dla niego przekaz instant jest idealny. Wystarczy podgrzać emocje. To nie jest walka techniczna na punkty. Tutaj liczy się tylko knock-out. Współczesna polityka to nie partia szachów, to bardziej FAME MMA. I to w patostreamingu.

Liczą się etykiety. „Imigrant równa się zagrożenie". „Małżeństwo to kobieta i mężczyzna". „Ukrainiec w Polsce to darmozjad i potomek UPA". Nie można mieć wątpliwości.

Nawet butelkomaty dzielą społeczeństwo. Na tych, którzy stoją, aby odzyskać swoją kaucję, tych, dla których to zbyt uwłaczające, oraz tych, którzy zbierają ze śmietników butelki tych wcześniejszych, aby mieć jakiekolwiek pieniądze. Walka o plastik stała się o wiele brutalniejszą lekcją niż sam recykling. A to dlatego, że pokazała pęknięcia, których nie chcieliśmy wcześniej zauważyć.

Spory o wartości również ustąpiły miejsca sporom o symbole. Butelki, ordery, flagi, tęcze czy pomniki. Rzeczy zastąpiły idee, bo łatwiej jest je ująć w kadrze swojego telefonu, a następnie wrzucić na Instagram czy TikToka. Jeśli własne dzieci sprzedajemy dla lajków, to czy nie zrobimy tego z ojczyzną? Humanizm przegrał z rekwizytem. Od czasu, gdy Janusz Palikot przyniósł na konferencję prasową wibrator i pistolet jest już tylko gorzej. Debata publiczna to coraz częściej casting na najbardziej zapamiętywany tekst dnia. A ten powinien miażdżyć. Narodowy zwrot „zniszczę go" powinien być umiejscowiony na sztandarze gdzieś między ojczyzną a honorem.

Nieprzypadkowo coraz większą rolę w życiu publicznym odgrywa wizerunek siły. Polityk ma być zdecydowany, stanowczy i nieugięty, a najlepiej także wysportowany. I nie chodzi o to, że kondycja fizyczna jest wadą, lecz o to, jak bardzo zmieniło się nasze wyobrażenie o tym, czym jest przywództwo. Nagradzamy prostotę nad złożoność. Emocja jest ważniejsza niż argument, bezczelność klika się lepiej niż wiedza. Politycy tylko odpowiadają na popyt. A clickbait się liczy. Jak podaje PAP, z badania przeprowadzonego na zlecenie NordVPN wynika, że Polak o średniej długości życia 79 lat spędzi ponad 26 z nich w internecie. Jedna trzecia życia online. To wystarczająco długo, aby algorytmy zaczęły współdecydować nie tylko o tym, co kupujemy, lecz także o tym, co myślimy. Internet stał się największym targowiskiem próżności. Problem w tym, że większość stoisk sprzedaje intelektualny fast food.

Jesteśmy gotowi uwierzyć temu, kto przedstawia atrakcyjniejszą historię, a nie temu, kto przedstawia dowody. Historia o silnym przywódcy, którego próbowano otruć, buduje legendę. Tym bardziej gdy potwierdza to człowiek, który zawodowo zajmuje się muskulaturą ciała, przekonując, że „ma charakter chłop". Mit skutecznej działa na wyobraźnię niż fakty. Tym bym bardziej że inni w tym samym czasie kompromitują się podczas tajnych kompletów z opozycją.

Za kryzysem autorytetów stoi kryzys czasu i cierpliwości. Demokracja wymaga ludzi gotowych wysłuchać argumentów oraz zastanowienia się nad nimi. Algorytmy nagradzają tych, którzy przerywają po trzecim zdaniu i stawiają proste, a często nawet prostackie tezy. Może więc nie żyjemy w epoce końca inteligencji. Żyjemy w epoce, w której inteligencja nie tylko przestała być opłacalna, lecz także zaczyna być traktowana jako coś negatywnego. Dres pozostaje tu symbolem. I to nie chodzi o to, że nie rozumiem, jak w dresach można przyjść na uczelnię, do urzędu czy sądu (tak, nie rozumiem). Jest symbolem pewnego sposobu myślenia o świecie. Świecie, w którym szacunek bierze się siłą. W którym stanowczość jest mylona z mądrością, krzyk z odwagą, a prostota z prawdą. Świata, w którym lepiej upokorzyć niż przekonywać. W którym opłaca się adwersarza znokautować. W dresach chodziło się na siłownię, teraz wchodzi się w nich na salony. W takiej rzeczywistości profesor przegrywa z influencerem, a ekspert z celebrytą. A to wszystko dlatego, że zmieniły się reguły gry. Rynek uwagi premiuje nie tych, którzy wiedzą, lecz tych, którzy potrafią oszukać system.

O wynikach wyborów parlamentarnych w 2027 r. nie zdecydują ludzie pod krawatami z książkami w rękach. Zdecydują ludzie w domowych dresach przeglądający memy i shorty w mediach społecznościowych. Nie zdecyduje siła przekazu, tylko silny przekaz. A to nie pozostawia większych złudzeń co do tego, które partie będą sprawowały władze przez kolejne cztery lata. A jeśli nic się nie zmieni, Drespospolita Polska przestanie być tylko felietonową metaforą. Stanie się polityczną codziennością. Codziennością, w której ponad godność człowieka ważniejsza jest jego wygoda myślenia. ©℗

Autor jest doktorem nauk prawnych, dziekanem Wydziału Prawa, Bezpieczeństwa i Kryminologii WSKZ, prezesem Centrum Prawa Konstytucyjnego i Monitorowania Praworządności



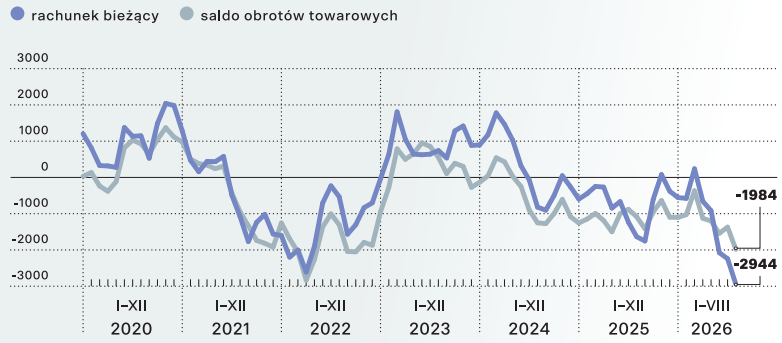
Mniej Więcej

Łukasz **Wilkowicz**

Droga ropa daje rekordy deficytu

Sierpień tego roku był drugim miesiącem w historii (pierwszym był luty 2022 r., gdy Rosja najechała Ukrainę), w którym deficyt w obrotach towarowych Polski przekroczył 3 mld euro. Doszło do tego w warunkach niezłego, bo sięgającego 13 proc. w skali roku, wzrostu eksportu. Problem w tym, że import urósł jeszcze mocniej, bo o 15 proc. Zawdzięczamy to wzrostowi cen surowców, z ropą naftową na czele. Sierpniowy deficyt na rachunku obrotów bieżących pokazujący codzienne transakcje z zagranicą prezentuje się jeszcze słabiej: wyniósł prawie 3,6 mld euro. Gorszego miesięcznego wyniku nasza gospodarka jeszcze nie odnotowała. Dane z miesiąca na miesiąc mogą podlegać znacznym wahaniom, dlatego na wykresie pokazujemy trzymiesięczne średnie ruchome. ©℗

Saldo obrotów bieżących i obrotów towarowych
(mln euro, 3-mies. średnia ruchoma)

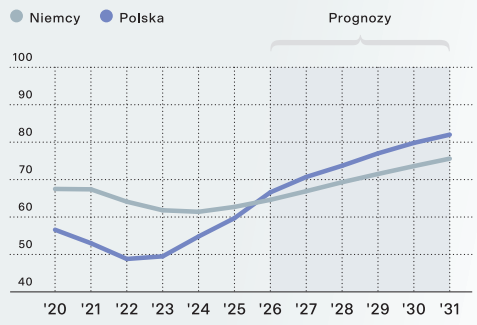


Źródło: dane NBP LR ©℗

W długu właśnie wyprzedzamy Niemcy

Na temat kiepskiego stanu naszych finansów publicznych napisano już wiele. Nastrojów nie poprawią nowe prognozy MFW. Wskazują co prawda, że w przyszłym roku deficyt sektora rządowego i samorządowego w relacji do PKB zmniejszy się do 7,0 proc. z 7,2 proc. prognozowanych na rok bieżący, ale w Europie nie będzie gorszego wyniku (wśród największych gospodarek deficyt przekraczający 8 proc. PKB jest spodziewany w Chinach i Indiach). W tym roku pod względem relacji poziomu zadłużenia do PKB wyprzedzimy Niemcy. Na początku kolejnej dekady nasz dług publiczny (liczony według metodyki unijnej) przekroczy 80 proc. PKB. ©℗

Dług publiczny
(proc. PKB)

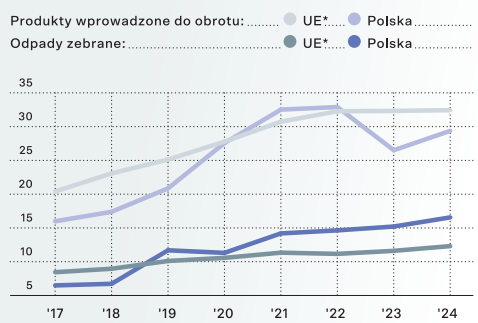


Źródło: MFW LR ©℗

Zbieramy e-śmieci

W 2024 r. (najświeższe dane opublikowane przez Eurostat) Polska była na piątym miejscu w UE w zestawieniu krajów najskuteczniej zbierających e-śmieci. U nas zebrano ich prawie 17 kg w przeliczeniu na mieszkańca. Średnia unijna to niewiele ponad 12 kg. Statystyka nie pokazuje źródła odpadów elektronicznych. Najsłabiej wypadają kraje południa kontynentu: Cypr, Portugalia, Malta, Grecja – w żadnym z tych krajów poziom zbiórki e-odpadów w przeliczeniu na mieszkańca nie przekracza 7 kg w skali roku. W UE waga produktów elektronicznych wprowadzonych do obrotu jest 2,6 razy większa niż zebranych e-śmieci. W Polsce ta relacja jest tylko 1,8 razy większa. ©℗

E-śmieci i produkty elektroniczne
(kg per capita)



Źródło: Eurostat * 27 krajów LR ©℗

eprasa.pl 619bc0a215

Historia

Dom publiczny dla niemieckich żołnierzy urządzony w dawnej synagodze w Breście we Francji



FOT. DIETRICH/BUNDESARCHIV/DOMENA PUBLICZNA

Nie milczmy o przemilczanych

Dopóki nie zmierzymy się z prawdą o niewolniczej pracy seksualnej, do której okupant zmuszał polskie kobiety, dopóty nie uzyskamy pełnego obrazu niemieckiej okupacji

Z Joanną

Ostrowską

rozmawia Zofia Brzezińska

Okupacja niemiecka jest bardzo skrupulatnie badana i opisywana, a jednak zjawisko seksualnej pracy przymusowej pozostaje tematem tabu. Dlaczego?

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele i należy ich szukać m.in. w polityce, w konserwatyzmie powojennego społeczeństwa, w jego mentalności, a także w ludzkich mechanizmach psychologicznych, takich jak wyparcie, wstyd czy lęk przed ostracyzmem i odtrąceniem. W opowieściach nielicznych świadkiń, które zdecydowały się podzielić swoją historią, przeważają próby wyparcia i strach przed naznaczeniem. W ich mniemaniu nie było wątpliwości, że mówienie o „tym" wiąże się z konsekwencjami. Wszystkie zwracały uwagę na strach przed stygmatyzacją, szczególnie po wojnie – wśród bliskich, sąsiadów, osób postronnych. Niektóre z nich próbowały sobie radzić z tą traumą na świeżo, bo relacje pojawiały się tuż po wojnie, a potem na całe dziesięciolecia nad tematem zapadła cisza. Może to dziwić tym bardziej, że przecież propaganda PRL skwapliwie uwypuklała wszelkie zbrodnie Niemców, aby na tej podstawie jeszcze bardziej podkreślać zasługi „wyzwoliciela" – Armii Czerwonej. W tym przypadku jednak mechanizmy społeczne i psychologiczne okazały się silniejsze niż jakakolwiek propaganda. Kobiety, bojąc się odrzucenia i niezrozumienia, często wybierały milczenie. Nie bez znaczenia pozostaje tu też rola społecznych oczekiwań. Wynoszono na piedestał wybrane wojenne bohaterki – konspiratorki, żołnierki, sanitariuszki, łączniczki, harcerki, które z pobudek patriotycznych stawały do walki z wrogiem, nierzadko płacąc za to najwyższą cenę. Obraz ofiary przemocy seksualnej nie współgrał z tym ideałem. Lecz przecież w prawdziwym życiu te sfery wzajemnie się przenikały, a bojowniczki ruchu oporu nierzadko również padały ofiarami przemocy seksualnej. Przykładem może być tragiczny los Elżbiety Korompay, ps. Grażyna, łączniczki wywiadu i kontrwywiadu ZWZ-AK, która po aresztowaniu trafiła na Pawiak i została poddana torturom – w tym gwałtom na oczach również aresztowanej matki.

Kiedy zaczęto tworzyć domy publiczne dla Wehrmachtu i innych niemieckich formacji?

Decyzję o potrzebie utworzenia wojskowych domów publicznych naczelne dowództwo wojsk lądowych oraz ministerstwo spraw wewnętrznych Rzeszy podjęły już w 1939 r., zaraz po ataku na Polskę. Niemcy zdawali sobie sprawę, że szykują się do wojny na pełną skalę, co doprowadzi do konieczności długiego pobytu poza domem setek tysięcy żołnierzy. Aby oni wszyscy mogli zaspokajać swoje potrzeby seksualne, nie narażając się na choroby weneryczne, niebezpieczne z punktu widzenia wojskowego kontakty z ludnością cywilną wrogiego państwa czy wreszcie na relacje homoseksualne, postanowiono stworzyć szeroką sieć wojskowych domów publicznych. Dla Wehrmachtu, SS i dla innych jednostek przewidziano osobne placówki. W czasie wojny Niemcy zakładali domy publiczne we Francji,

eprasa.pl 619bc0a215

Włoszech, w Polsce, Norwegii, Belgii, Rumunii, Grecji, ZSRR i w krajach bałtyckich.

A w obozach?

Domy publiczne w obozach koncentracyjnych powstawały od 1943 r. Naziści uważali, że wizyta w nich ma być formą nagrody dla więźniów oraz sposobem na podniesienie wydajności ich pracy.

Jak werbowano kobiety do okupacyjnych domów publicznych?

W pierwszej kolejności niemieckie władze zwracały się do władz lokalnych z poleceniem dostarczenia im list dotychczasowych zarejestrowanych pracownic seksualnych. Te kobiety werbowano jako pierwsze, ale trzeba podkreślić, że nie zostawiano im w tej kwestii wyboru. Można się czasem spotkać z lekceważącym stosunkiem do ich dramatu, wyrażającym się w przekonaniu, że „przecież dla nich nic się nie zmieniło, jedynie pracodawca". Zawsze staram się przeciwstawiać takiemu krzywdzącemu sposobowi myślenia, gdyż nie ulega wątpliwości, że one również były ofiarami, którym odebrano możliwość decydowania o własnym ciele. Czasami kierowano kobiety do domów publicznych w ramach represji. To zjawisko występowało np. w Kraju Warty, gdzie istniało nawet specjalne zarządzenie grożące, iż „Polki zaczepiające żołnierzy niemieckich zostaną skierowane do domu publicznego". Taki los spotkał jedną z bohaterek mojej książki, Poznaniankę Mariannę, która trafiła do placówki za relację z niemieckim obywatelem. Czasem o takim losie decydował przypadek, np. kiedy postanawiano wysłać do domu publicznego kobiety ujęte w zwykłej łapance. Wstrząsające sceny przygotowywania kobiet do takiego transportu opisał Kazimierz Romuald Koronkiewicz, lekarz, który na rozkaz Niemców pracował przy selekcjach osób zgromadzonych w obozie na ul. Skaryszewskiej w Warszawie. Według relacji Koronkiewicza podeszła tam do niego młoda dziewczyna, prosząc o ratunek przed zesłaniem do domu publicznego. Chcąc jej pomóc, lekarz stwierdził u niej wadę serca i zarekomendował zwolnienie z pracy. Niestety, niemiecki lekarz później osobiście zbadał dziewczynę i, odkrywszy fortel, zagroził Polakowi: „jeśli jeszcze raz coś takiego się wydarzy, to zostanie pan z miejsca aresztowany".

Z kolei więźniarki do puffów – jak nazywano obozowe domy publiczne – kuszono obietnicami „lekkiej" pracy, lepszych racji żywnościowych, dodatkowych leków czy ubrań, a więc po prostu szansą przeżycia. Obiecywano im także, że po pół roku zostaną zwolnione z obozu. W obozie Auschwitz nie odnotowano ani jednego przypadku spełnienia tej deklaracji. Kandydatek poszukiwano wśród więźniarek, które były w obozie na tyle krótko, że potworne warunki tego miejsca nie zniszczyły jeszcze całkiem ich ciał, lecz na tyle długo, że miały już świadomość, iż przyjdzie im stoczyć walkę o życie. Czy więc

Joanna Ostrowska

„Przemilczane. Seksualna praca przymusowa podczas II wojny światowej"
Znak Literanova, Kraków 2026



możemy tu mówić o jakiejkolwiek formie wyboru, który rzekomo im ofiarowano? Moim zdaniem była to zaledwie jego imitacja.

Nie sposób uciec od pytania, jak ludzie, którzy swoim naczelnym hasłem uczynili czystość aryjskiej rasy, godzili ten ideał z wykorzystywaniem seksualnym kobiet wywodzących się z ras, które uważali za gorsze. Jak można – i czy w ogóle da się – zrozumieć ten straszny paradoks?

Żydówki i Romki były wyłączane z werbunku do burdeli automatycznie i bezdyskusyjnie. Receptą hitlerowców na tę pozorną sprzeczność okazało się odarcie stosunku seksualnego z komponentu ludzkiego. Według oficjalnej doktryny relacja między żołnierzem a pracownicą seksualną miała mieć charakter wyłącznie biznesowy, ekonomiczny, pozbawiony jakichkolwiek emocjonalnych konotacji. Ten okrutny mechanizm odczłowieczania ofiar, zamieniania ich jedynie w narzędzia służące realizacji popędu seksualnego, był widoczny w każdym aspekcie tego systemu. Kobiety przewożono z miejsca na miejsce zupełnie jak przedmioty; wystarczyło, żeby np. policja kryminalna (Kripo) w Warszawie otrzymała nakaz przesłania określonej liczby kobiet na front wschodni. Dotarłam do dokumentów potwierdzających, że z Warszawy wywieziono kilkaset kobiet, które miały być zatrudnione jako przymusowe pracownice seksualne poza granicami Generalnego Gubernatorstwa. Do dziś nie wiadomo, kim były te kobiety. Nie zachowały się relacje żadnej z nich. Wiemy dobrze, gdzie mieściły się domy publiczne, jak wyglądały te budynki, jakie było wyposażenie pomieszczeń, zachowały się regulaminy placówek przewidujące m.in. kary za nieprzestrzeganie zasad sanitarnych czy informacje o opłacie za wizytę. Ale same kobiety, które zmuszano do pracy w tych miejscach, w przerażającej większości pozostają bez twarzy, często bez imienia i nazwiska... W puffach wymóg zachowania czystości rasy realizowano w ten sposób, że niemieckim więźniom pozwalano korzystać wyłącznie z usług Niemek, natomiast więźniowie innych narodowości byli kierowani odpowiednio do swoich rodaczek. Przypadki łamania tych zasad były surowo karane. Wszystkie domy publiczne były traktowane przede wszystkim jak instrument ochrony seksualności Niemców, mający ustrzec ich przed wspominanymi już zagrożeniami: chorobami wenerycznymi, zdradzeniem tajemnic wojskowych w chwilach intymności czy relacjami homoseksualnymi.

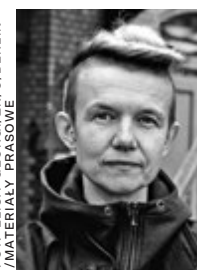
Skoro jesteśmy już przy kwestii homoseksualności, muszę zapytać o to, czy mężczyźni również bywali ofiarami. Nie chcę absolutnie hierarchizować ludzkiego cierpienia, ale trudno się ustrzec przed wizją, w której męskie ofiary padałyby ofiarą podwójnej stygmatyzacji i wykluczenia...

Oczywiście naziści prześladowali osoby homoseksualne, dostrzegając w nich zagrożenie dla przetrwania i ciągłości narodu niemieckiego, a więc nigdy nie zorganizowaliby oficjalnie domów publicznych dla homoseksualistów. To jednak wcale nie znaczy, że nie dochodziło do przypadków nadużyć seksualnych wobec mężczyzn. To zjawisko znamy z obozów koncentracyjnych, gdzie młodzi mężczyźni nagminnie byli wykorzystywani przez więźniów funkcyjnych. Takich mężczyzn nazywano w obozie „piplami" i niestety przeważnie traktowano z pogardą i nienawiścią, jak kolaborantów. Nie zachowało się wiele relacji ofiar, ale pisali o nich zarówno niemiecki historyk Robert Sommer, jak i polska badaczka Dorota Głowacka. Mężczyźni podejrzani o relację intymną z innymi mężczyznami byli karani w trakcie wojny na mocy par. 175 i 175a niemieckiego kodeksu karnego. Sprawy dotyczące przemocy seksualnej traktowano bardzo różnie, co widzimy w zachowanej dokumentacji sądowej. Czasem do więzienia albo obozu trafiali zarówno sprawca, jak i ofiara. To kolejny dowód na to, jak obłąkańcza bywała logika nazistów. Warto jednak dodać, że wśród tych bolesnych relacji znalazły się również takie, w których motywem nie była przemoc, lecz autentyczne, oparte na dobrowolności uczucie.

Czy zbrodnie, o których rozmawiamy, kiedykolwiek stanęły na wokandzie w latach powojennych? Czy sprawcy zostali w jakikolwiek sposób ukarani, a ofiarom przyznano zadośćuczynienie?

W 1946 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie odbył się proces komendanta obozu w Płaszowie, zbrodniarza wojennego Amona Götha. Wśród zarzucanych mu zbrodni przedstawiono zorganizowanie „wesołego domku" (tak nazywano płaszowski dom publiczny). Jednak ostatecznie mężczyzna usłyszał wyrok śmierci za swoje inne, liczne zbrodnie. Wiemy, że na przełomie lat 1947 i 1948 Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie rozpoczęła śledztwo zmierzające do udokumentowania tej zbrodni. Zaczęto gromadzić relacje ofiar, lecz z niewyjaśnionych przyczyn prace przerwano. Temat ucichł na lata, podczas procesów norymberskich nawet o nim nie wspomniano, natomiast powrócił dość niespodziewanie podczas procesów frankfurckich, czyli procesów załogi Auschwitz przed sądem we Frankfurcie nad Menem w latach 1963–1965. Pojawił się w nich wątek istnienia domów publicznych w obozie, ale został potraktowany jako „ot, jeszcze jeden przykład bestialstwa" władz obozu, a nie osobna zbrodnia wymagająca indywidualnej uwagi i badań. Większą wagę przykładano do zbrodni uznawanych za cięższe gatunkowo, takich jak morderstwa i egzekucje. Nie dochodziło także do sytuacji, w których ofiarom seksualnej pracy przymusowej państwo niemieckie przyznawałoby jakieś specjalne, odrębne zadośćuczynienia.

Do tej pory temat seksualnej pracy przymusowej w okresie II wojny światowej nie wybrzmiał wystarczająco głośno w ludzkiej pamięci i świadomości. Znamy historie więźniów obozów, ofiar Holokaustu, ofiar masowych egzekucji i pacyfikacji, osób wysiedlanych i represjonowanych, robotników przymusowych, rabowanych i germanizowanych dzieci, lecz głos kobiet zmuszanych do pracy seksualnej pozostaje nieusłyszany. Czas jest nieubłagany, świadkiń i świadków wojny wśród nas już prawie nie ma. Każda relacja jest na wagę złota, chociaż zawsze podkreślam, że oczywiście bezwzględnie należy uszanować wolę tych, którzy decydują się zachować milczenie i nie dzielić się traumą. Jednocześnie obserwujemy inne niepokojące zjawisko – tematyka obozowa i wojenna coraz częściej bywa wykorzystywana jako sceneria do zbudowania atrakcyjnej i wciągającej emocjonalnie fikcyjnej fabuły. Masowo pojawiają się na rynku powieści, które bazują na takich wątkach. Niestety większość nie ma niczego wspólnego z historią i jej realiami. Chciałabym, aby „Przemilczane" stanowiły antidotum na tego typu pulpową literaturę. Tutaj nie ma sensacji, nie ma romansów z przystojnymi nazistami. Są twarde fakty, dokumenty, statystyki i relacje osób, które tragedii wojny doświadczyły na własnej skórze. Jestem głęboko przekonana, że dopóki się z tym nie zmierzymy, dopóki symbolicznie nie spojrzymy w oczy tamtym kobietom i dziewczętom, którym odebrano ludzką godność, dopóty nie uzyskamy pełnego i prawdziwego obrazu tego strasznego okresu w dziejach Polski, jakim była okupacja hitlerowska. ©℗



FOT. ELISA GEORGI/ZK/U/BERLIN /MATERIAŁY PRASOWE

Joanna
Ostrowska
doktor nauk humanistycznych, historyk

eprasa.pl 619bc0a215

Bunt młodych

Pełną sukcesów prezydenturę Charles'a de Gaulle'a przerwał bunt studentów. Stało się to w momencie, gdy Francja odzyskała mocarstwową pozycję

Andrzej
Krajewski



FOT. REG LANCASTER/DAILY EXPRESS/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

Francuski policjant ucieka przed tłumem studentów. Paryż, 25 czerwca 1968 r.

Gdyby powiedzieć francuskim licealistom, którzy podpalają właśnie swoje szkoły, że 60 lat temu bunt młodych Francuzów wybuchł, bo ich kraj odnosił wielkie sukcesy, zapewne by nie uwierzyli. Stojąca u progu załamania finansów publicznych V Republika, nękana licznymi kryzysami, w niczym tamtej Francji nie przypomina. Pod koniec lat 60. kraj bogacił się tak szybko jak nigdy wcześniej. Stał się mocarstwem nuklearnym oraz mógł się pochwalić nowoczesnym przemysłem. A jednak dla wielu młodych ludzi taka Francja była nie do zniesienia.

Podnieceni i niebezpieczni

„Panie ministrze, przeczytałem pańską białą księgę na temat młodzieży. Na trzystu stronach nie ma ani słowa o problemach seksualnych młodych ludzi" – powiedział 8 stycznia 1968 r. student Daniel Cohn-Bendit do ministra ds. młodzieży Françoisa Missoffa. Ten odparował: „Z taką twarzą z pewnością zna się pan na tego rodzaju problemach", a następnie zalecił pytającemu częste kąpiele w basenie. Laurent Besse w „Un ministre et les jeunes: François Missoffe, 1966–1968" pisze, że do konfrontacji doszło podczas uroczystego otwarcia basenu w Nanterre. Ów kampus uniwersytecki zaczęto budować cztery lata wcześniej, żeby odciążyć Sorbonę i przerzucić część młodzieży na nową uczelnię – Uniwersytet Paryż-Nanterre.

Betonowe miasteczko zbudowano na terenie dawnej bazy wojskowej, obok dzielnicy zamieszkanej przez klepiących biedę gastarbeiterów z Algierii i Maroka. Sąsiedztwo i odizolowanie od reszty Paryża sprzyjało radykalizowaniu się kampusu. „To tam młodzież studencka była najbardziej aktywna, szczególnie różne grupy lewackie: anarchiści, trockiści, maoiści" – zauważa w opracowaniu „Wydarzenia maja 1968 r. we Francji" Małgorzata Gmurczyk-Wrońska.

Gdy więc Missoffe publicznie zakpił z Cohn-Bendita, w sali zawrzało. „To odpowiedź godna Hitlerjugend" – wykrzyczał sam Cohn-Bendit. Następnie w Nanterre zaczęło się zbierać na rebelię. Wreszcie 26 stycznia 1968 r. grupa studentów, którą kierowali anarchiści oraz trockiści, zorganizowała pierwszą uliczną zadymę. „Wydarzenia rozpoczęły się w Nanterre w związku z zewnętrznymi wobec nauczania kwestiami, takimi jak prawo chłopaków do odwiedzin dziewczyn w akademikach. W gruncie rzeczy detonatorem była trochę «rewolucja seksualna»" – twierdził po latach na łamach książki „Krytyka i przekonanie" prof. Paul Ricoeur.

Wiosną 1968 r. był na Uniwersytecie Paryż-Nanterre dziekanem wydziału filozofii. Jego zdaniem bunt zainicjował minister Missoffe oraz zakaz wchodzenia studentów do żeńskich akademików, lecz przyczyny rozruchów były głębsze. Ricoeur twierdzi, że mieszankę wybuchową tworzyło pochodzenie społeczne studentów oraz ich poglądy. „Jedni wywodzili się z mieszczaństwa, z Neuilly (bogate przedmieście Paryża – red.), z XVI i XVII dzielnicy, drudzy z ludu, z Nanterre i z mniej bogatych dzielnic. Córki i synowie mieszczaństwa byli lewicowi, ci drudzy komunistami" – podkreśla filozof.

Młodym trockistom i maoistom marzyła się rewolucja, lecz lewicująca młodzież z zamożnych domów również czuła się sfrustrowana, głównie masowością studiów. „Po stronie mieszczańskiej (...) wyczuwało się, że uniwersytet nie jest już uprzywilejowanym czynnikiem kariery społecznej. Ponieważ rodzice ich osiągnęli już tę (wysoką – red.) pozycję, młodzi mieszczanie mogli sprzymierzyć się z tymi, którzy znajdowali się na uniwersytecie bez realnych szans osiągnięcia tam sukcesów i myśleli jedynie o zniszczeniu instrumentu, który nie był dla nich niezawodnym narzędziem przyszłego sukcesu" – zauważał prof. Ricoeur.

Zatem pierwsza demonstracja starła się z policją. Po tych zamieszkach władze uczelni relegowały z Nanterre największych wichrzycieli. Ale decyzja tylko rozogniła spór, bo wśród studentów i kadry naukowej najaktywniejsi okazali się obrońcy zadymiarzy. Ci na ulice Paryża powrócili 20 marca 1968 r. podczas demonstracji zorganizowanej przez antywojenną organizację – Wietnamski Komitet Narodowy (CVN). Sprzeciw wobec działań USA na Dalekim Wschodzie wyrazili, plądrując siedzibę American Express i próbując zdewastować inne budynki.

A dwa dni później w proteście przeciwko kolejnym zatrzymaniom przez policję 142 studentów wtargnęło do budynku administracji uczelni i ogłosiło okupację ósmego piętra. Po czym powołali do życia Ruch 22 Marca, by zainicjować studencką rewoltę.

Prezydent nie wszystkich Francuzów

„V Republika w latach 60. pod rządami prezydenta Charles'a de Gaulle'a należała do najbardziej stabilnych pod względem politycznym i gospodarczym krajów. Większość Francuzów była zadowolona z rządów generała. Poparcie dla niego w 1966 r. wynosiło 61 proc., w 1967 – 59 proc., a w 1968 r. – 56 proc." – opisuje Gmurczyk-Wrońska. Gospodarka rozwijała się znakomicie i średnie tempo wzrostu PKB wynosiło ok. 5,5 proc. rocznie. Przekładało się to na wzrost płac oraz świadczeń socjalnych. Jednocześnie de Gaulle zakończył epokę wojen kolonialnych i uczynił z V Republiki państwo, które przewodziło Wspólnocie Europejskiej.

Ale ten cud gospodarczy miał ukryte koszty. Według socjologa Henriego Mendrasa w latach 60. doszło do załamania się dawnego kompromisu społecznego między wsią a miastem. Mechanizacja rolnictwa przyniosła exodus ludności wiejskiej do ośrodków przemysłowych – przybyło do nich ok. 1,5 mln osób. Przyniosło to zmiany, które „często prowadziły do zerwania z tradycyjnym modelem rodziny, wartościami i obyczajami" – zauważa Gmurczyk-Wrońska.

Do migrantów ze wsi dołączyło ok. 2 mln migrantów zarobkowych z Maghrebu oraz Portugalii i Turcji. Miasta francuskie gwałtownie się rozrastały. „Dodatkowym bodźcem do zmian i przewartościowań stał się amerykański styl życia, żywotność i radykalizacja ideałów rewolucyjnych, transformacje w łonie klasy robotniczej" – podkreśla Gmurczyk-Wrońska.

Na to wszystko nałożył się wyż demograficzny i towarzyszący mu wzrost wydatków na szkolnictwo. De Gaulle pragnął dać V Republice nowe, znakomicie wykształcone pokolenia. Efektem był radykalny wzrost liczby studentów ze 170 tys. w 1958 r. do ok. 600 tys. w 1968 r. Ale uczelnie nie były gotowe na taką zmianę: sale wykładowe były przepełnione, podobnie jak akademiki, których zresztą brakowało. Jednocześnie sam system studiowania pozostawał do cna konserwatywny, trzymając się wzorców z XIX w. W efekcie studenci stali się najbardziej sfrustrowaną klasą społeczną. Zwłaszcza że ukończenie umasowionych studiów przestawało gwarantować awans społeczny.

Starsze pokolenie tego nie zauważało. „Przypomnijmy, że Francją rządzili ludzie urodzeni w okresie międzywojennym lub wcześniej, związani z Resistance (ruchem oporu – red.), dla których pamięć o wojnie, jej konsekwencjach oraz płynących z tego naukach dla państwa była priorytetem" – zauważa Gmurczyk-Wrońska. Przepaść między dwoma pokoleniami pogłębiała moda na radykalną lewicowość oraz gorącą niechęć młodych do rządzącego V Republiką od 10 lat jej męża

eprasa.pl 619bc0a215



opatrznościowego Charles'a de Gaulle'a. Dla studentów nie był bohaterem, ale 77-letnim starcem, który władał Francją niczym król, tłumił swobody obywatelskie i okazywał wrogość lewicy. Dlatego Ruch 22 Marca niemal natychmiast zażądał jego dymisji.

Młodzieżowa rewolucja

„Rząd na posiedzeniu 3 kwietnia podjął decyzję o rozpoczęciu reformy szkolnictwa opartego na selekcji" – opisuje Gmurczyk-Wrońska. Ówczesny minister edukacji wpadł na pomysł, że aby rozładować napięcie na uczelniach, należy wprowadzić egzaminy na studia. Dotąd mógł na nie pójść każdy, kto zdał maturę. Po czym po roku studiowania w letniej sesji egzaminacyjnej profesorowie oblewali nawet 70 proc. zdających. Teraz chciano, żeby działo się to już na starcie, a jednocześnie młodzi ludzie częściej wybierali szkoły zawodowe.

W tym samym czasie rektor Uniwersytetu Paryż-Nanterre poprosił policję o wyprowadzenie protestujących z budynku administracji. Wówczas ci ewakuowali się na Sorbonę. Tam otrzymali wsparcie kolegów i rozpoczęła się okupacja jednej z najbardziej znanych uczelni świata. Aż 3 maja 1968 r. do akcji wkroczyła policja. Kiedy funkcjonariusze ładowali studentów do furgonetek, zgromadzony na zewnątrz budynków tłum zaczął rzucać w nich kamieniami. Ale niczego nie wskórał.

Zatem w poniedziałek 6 maja przez Paryż pomaszerowała demonstracja w obronie aresztowanych. Przerwały ją starcia z policją. Po obu stronach było łącznie ponad 600 rannych. Zdemolowanie centrum stolicy nie ostudziło nastrojów i nowe starcia wybuchły 10 maja. Ponad 20 tys. młodych ludzi sparaliżowało Dzielnicę Łacińską, budując ok. 100 barykad. Policyjne oddziały CRS wyspecjalizowane w tłumieniu zamieszek szturmowały kolejne, oszałamiając gazem i pałując obrońców. Sukcesywnie spychano ich w jedno miejsce. „Na Rive Gauche zgromadził się ogromny tłum studentów. Kiedy CRS zablokowały im przeprawę przez rzekę, tłum ponownie wzniósł barykady, które policja zaatakowała o 2:15 nad ranem" – pisze Jonathan Fenby w książce „May 1968: The French Revolution That Never Was". Walki trwały do świtu.

Widok bitych studentów sprawił, że ich bunt zaczął zyskiwać coraz szersze poparcie obywateli. Jednocześnie na szczytach władzy doszło do rozłamu. Prezydent de Gaulle parł do rozwiązania siłowego, nawet z użyciem wojska. Tymczasem premier Georges Pompidou chciał studzić nastroje, uwolnić aresztowanych i pozwolić im wrócić na uczelnie. Zupełnie nie rozumiejący przyczyn buntu, zagubiony prezydent wyraził w końcu zgodę na szukanie kompromisu.

Zatem 13 maja Sorbona została otwarta dla żaków. „Rezultat nie był taki, jakiego oczekiwał Pompidou. Studenci natychmiast zajęli uczelnię, która stała się ich bazą, «cytadelą rewolucji» i jej «ideologiczną apteką», jak to ujął «Le Monde»" – pisze Fenby. Wkrótce Paryż przyozdobiły rewolucyjne plakaty; głosiły m.in. „Zabrania się zabraniać" i „Bądź realistą, żądaj niemożliwego".

Bezkarność studentów ośmieliła innych, którzy czuli się w V Republice pokrzywdzeni. Zatem 13 maja centrale związkowe ogłosiły strajk generalny. „Pracownicy transportu i energetyki strajkowali w Paryżu. Olbrzymi pochód przemaszerował na Plac Republiki, a w innych dużych miastach towarzyszyły mu masowe demonstracje, obwieszczające, że władza leży na ulicy i atakujące władcę Pałacu Elizejskiego okrzykami: «Żegnaj, de Gaulle! Żegnaj, de Gaulle! Żegnaj!»" – opisuje Jonathan Fenby. „Przywódcy studentów i związków zawodowych byli w awangardzie, a politycy lewicy pozostawali daleko w tyle" – dodaje.

Przewodniczący Francuskiej Partii Komunistycznej na łamach „L'Humanité" poczęstował Daniela Cohn-Bendita, który wyrósł na lidera studentów, serią obelg. Nazwał go m.in. „pseudorewolucjonistą", „niemieckim anarchistą" oraz „synem wielkiej burżuazji". Również socjaliści nie nadążali za rewolucjonistami. Tymczasem w drugiej połowie maja we Francji strajkowało już ok. 10 mln ludzi. Żądano 40-godzinnego tygodnia pracy, wyższych emerytur oraz wprowadzenia płacy minimalnej. Wprawdzie studenci nie tak wyobrażali sobie rewolucję, lecz akurat ich postulaty i potrzeby zeszły na dalszy plan.

Pożegnanie ze zwycięskim ojcem republiki

„Gospodarstwa domowe gromadziły zapasy żywności, benzyna stawała się towarem deficytowym. Zamożni ludzie wyruszali do Szwajcarii z gotówką i kosztownościami. Przepaść między prezydentem a premierem pogłębiała się" – opisuje Fenby to, co działo się pod koniec maja 1968 r.

Wietrząc w tym niepowtarzalną okazję, stojący na czele Federacji Lewicy Demokratycznej i Socjalistycznej François Mitterrand zawiązał sojusz z Pierre'em Mendès-France'em ze Zjednoczonej Partii Socjalistycznej. Obaj marzyli o prezydenturze i od lat rywalizowali z de Gaulle'em. Zatem postanowili mu ją w końcu odebrać, zgłaszając w parlamencie wotum nieufności wobec rządu Pompidou. Na czele nowego gabinetu miał stanąć Mendès-France i zażądać dymisji de Gaulle'a. Po czym Mitterrand zostałby kandydatem całej lewicy na nowego prezydenta. W ostatniej chwili wyłamali się komuniści i w głosowaniu 22 maja nie poparli wotum nieufności. Rząd lojalny wobec prezydenta przetrwał, a on sam otrzymał jasny sygnał, iż lada dzień może stracić władzę.

To zmotywowało generała do zdecydowanych działań. Gdy Pompidou negocjował porozumienie ze związkowcami, potajemnie wyjechał z Paryża, żeby w Baden-Baden spotkać się ze swoim dawnym podkomendnym z czasów II wojny światowej gen. Jacques'em Massu. Był wówczas dowódcą wojsk francuskich w RFN. Ów bohater wojny w Algierii znany był z tego, że potrafi działać zdecydowanie i okrutnie. Udowodnił to w 1957 r., gdy skutecznie spacyfikował antyfrancuski ruch oporu w Algierze, fundując mieszkańcom miasta tortury i mordy. Massu zapewnił prezydenta o całkowitej lojalności armii i odwodził od myśli, by podał się do dymisji.

Podbudowany tym de Gaulle wrócił do Paryża i 30 maja wygłosił swoje historyczne przemówienie. „Jako depozytariusz narodowej i republikańskiej prawowitości w ciągu ostatnich 24 godzin rozważyłem wszystkie ewentualności. (...) Podjąłem decyzję. W obecnych okolicznościach nie wycofam się. Mam mandat od narodu i będę go sprawował" – oznajmił Francuzom.

Następnie ogłosił rozwiązanie parlamentu i nowe wybory już za trzy tygodnie. Nie pozwolił też Pompidou podać się do dymisji, choć ten bardzo na to nalegał. Obie decyzje okazały się bardzo trafne. Wkrótce zaufany człowiek premiera Jacques Chirac, podczas nieformalnych spotkań z szefami związków zawodowych, wynegocjował ugodę i strajki wygasły. A około miliona Francuzów przybyło po przemówieniu prezydenta na Pola Elizejskie, żeby okazać mu swoje poparcie.

Ostatecznie tlen osamotnionym studentom odcięły wyniki wyborów, które odbyły się w dwóch turach 23 i 30 czerwca. Prezydencka partia UNR, przemianowana na Związek na rzecz Obrony Republiki, zdobyła aż 46 proc. głosów i parlamentarną większość. Francuzi okazali, że nie chcą w kraju ani rewolucji, ani komunistycznej dyktatury, ani anarchii. Zdruzgotani takim obrotem sprawy studenci wrócili na uczelnie, lecz ich nienawiść wobec mieszczańskiego społeczeństwa jedynie rosła. Szykowali mu więc rewolucję obyczajową i polityczną – ale na raty.

Tymczasem triumfujący de Gaulle przeszarżował i zamiast cieszyć się ze zwycięstwa, postanowił zademonstrować wszystkim, że nadal popiera go większość Francuzów. Zaproponował więc pakiet reform, kosmetycznie zmieniających ustrój V Republiki, i 27 kwietnia 1969 r. odbyło się poświęcone im referendum. Dla wszystkich było jasne, że jest to plebiscyt, czy odpowiada im obecny prezydent Francji. Ku zdumieniu de Gaulle'a 52,8 proc. wyborców odpowiedziało – „nie". Po ogłoszeniu wyników generałowi nie pozostało już nic innego, jak podanie się do dymisji. ©℗

eprasa.pl 619bc0a215



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Dlaczego Nobel z ekonomii znów mnie nie zachwyca

Rafał Woś

Tegoroczny nobel z ekonomii trafił do Roberta E. Halla oraz Michaela Woodforda z uzasadnieniem, że ich modele pomagają w prowadzeniu przez rządy oraz banki centralne skutecznej polityki stabilizacji gospodarki. Ale w prawdziwym życiu te ich modele ostatnio raczej nie działają.

Rzecz dotyczy modelu DSGE. „D" jak dynamiczny. Uwzględniający to, że dzisiejsze wybory gospodarcze dotyczą przyszłości, która jest niepewna. Jednocześnie te same wybory dynamicznie kształtują przyszłą sytuację, którą starają się antycypować. „S" jak stochastyczny, a więc z greki: losowy i przypadkowy. W ekonomii tym pojęciem określa się modele, które zakładają, że w gospodarce mogą się pojawić przypadkowe szoki i trzeba je w budowie modelu uwzględnić. I wreszcie „GE" jak stan równowagi ogólnej (general equilibrium). Wywodzony od francuskiego klasyka Leona Walrasa postulat – a może bardziej ambicja – wyznaczenia takiego miejsca w gospodarce makro, w którym zachowania uczestników życia ekonomicznego oraz skutki polityk ekonomicznych (podatki, stopa procentowa etc.) przecinają się w akceptowalnym punkcie.

Hall (rocznik 1943) i Woodford (urodzony w 1955 r.) nie wymyślili modelu DSGE; jego początki są wiązane z dyskusją Roberta Lucasa z Finnem Kydlandem oraz Edwardem Prescottem toczoną na przełomie lat 70. i 80. Wszyscy jej uczestnicy zostali zresztą później Noblem z ekonomii uhonorowani. Ważne jest jednak to, że ów model szybko stał się jedną z podstaw makroekonomicznego planowania. Aż do kryzysu 2008 r. uchodził wręcz za szablon, za pomocą którego da się stwierdzić, jakie konsekwencje dla bezrobocia przyniosą podwyżki lub obniżki stóp procentowych albo wyższe lub niższe podatki. Hall i Woodford – każdy w swoim zakresie – modele te udoskonalali, czyniąc je bardziej eleganckimi i dodając elementy nazywane podstawami mikroekonomicznymi. Na przykład nieelastyczność (potocznie lepkość) cen. Albo tworzenie się racjonalnych oczekiwań po stronie firm oraz gospodarstw domowych.

Trzeba jednak pamiętać, że przynajmniej od dwóch dekad model DSGE nie jest już ekonomicznym dogmatem. Pierwszy powód: model dynamicznej równowagi ogólnej nie wyjaśnia zjawiska wymuszonego bezrobocia. W DSGE podaż pracy jest bezpośrednio związana z poziomem stopy procentowej, dochodów osiąganych wcześniej (oszczędności) i aktualnej płacy realnej. W tym świecie poziom bezrobocia jest zawsze optymalną odpowiedzią na warunki panujące na rynku pracy. Problem w tym, że prawdziwe życie bardzo często przeczy takiej teorii. Co gorsza, bazując na modelu DSGE, ekonomiści zbyt często lansują tezę, że wystarczy obniżyć poziom płac, a problem bezrobocia ulegnie rozwiązaniu. Ludzie zostaną bowiem zmuszeni do podjęcia pracy na gorszych warunkach. W praktyce nie uwzględnia to oczywiście wpływu efektywnego popytu na gospodarkę. Ani tego, że obniżenie płac przynosi zwykle nie mniej, ale wręcz więcej bezrobocia.

Powód drugi: model DSGE prowadzi niektórych do wniosku, że wydatki publiczne przynoszą zawsze spadek konsumpcji prywatnej. A to dlatego, że gospodarstwa domowe zakładają, iż za wzrost wydatków przyjdzie im zapłacić wyższymi podatkami w przyszłości. Warto pamiętać, że zwłaszcza minione 15-lecie pokazało coś innego. W praktyce wzrost wydatków skutkował wzrostem długu bez wzrostu podatków. Model znów rozjechał się z prawdziwym życiem w realiach współczesnego kapitalizmu.

Dla mnie tegoroczny wybór Banku Szwecji (sponsora nagrody) ochładza ekscytację ekonomicznym konkursem. A już poprzednie edycje były dla mnie wielce rozczarowujące. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Potrzebna edukacja, która naprawdę uczy

Musimy mniej pokładać wiarę w magicznych reformach systemowych, a bardziej zwracać uwagę na to, czy dziecko rzeczywiście się uczy

Anatol Roettke

Autor jest ekonomistą GRAPE

Przez lata uspokajaliśmy się statystyką: poziom wykształcenia na świecie rośnie, bo ludzie uczą się coraz dłużej. Problem w tym, że – co pokazuje badanie Human Capital and Development, przygotowane przez Philippe'a Aghiona (Nagroda Nobla z ekonomii w 2025 r., Collège de France, INSEAD i London School of Economics), Ingvilda Almåsa (Norges Handelshøyskole) i Costasa Meghira (Uniwersytet Yale) – coraz częściej uczymy się pozornie.

Naukowcy zwracają uwagę na fundamentalną sprzeczność: szkoły działają, dzieci siedzą w ławkach, dyplomy są rozdawane, lecz realne umiejętności – czytanie ze zrozumieniem, liczenie czy logiczne myślenie – pozostają na dramatycznie niskim poziomie.

Badacze połączyli teorię wzrostu gospodarczego z wynikami eksperymentów i doszli do wniosku niewygodnego dla polityków: nie każda edukacja prowadzi do rozwoju. Liczą się nie lata nauki, lecz to, czy szkoła rzeczywiście uczy. A to oznacza, że pytanie: „Ile wydajemy na edukację?" jest o wiele mniej istotne niż inne: „Na co dokładnie te pieniądze wydajemy?". Co więc działa naprawdę?

Po pierwsze: wczesne interwencje. Badania pokazują, że inwestycje dokonywane w pierwszych latach życia dzieci – w zdrowie, w odżywianie, w rozwój poznawczy oraz językowy – przynoszą nieporównywalnie większe rezultaty niż późniejsze naprawianie braków w szkole średniej. Pięcioletnie dziecko, które nie rozumie poleceń oraz nie potrafi skupić uwagi, niemal na pewno pozostanie w tyle przez cały cykl edukacji. Tego nie da się nadrobić reformą programową.

Po drugie: uczenie na faktycznym poziomie ucznia. Jednym z najskuteczniejszych rozwiązań – testowanym m.in. w Indiach oraz Afryce – są zajęcia wyrównawcze prowadzone nie według wieku, lecz realnych umiejętności. Brzmi banalnie? A jednak to rewolucja. Zamiast udawać, że cała klasa przerobiła materiał, nauczyciel pracuje z dziećmi nad tymi zagadnieniami, z którymi mają problemy. Rezultat: gwałtowny wzrost umiejętności czytania i liczenia, zwłaszcza wśród najsłabszych.

Po trzecie: zdrowie i edukacja to naczynia połączone. Leczenie chorób pasożytniczych, poprawa wzroku, regularne posiłki w szkole – to działania tanie, lecz o ogromnym wpływie na wyniki w nauce. Trudno się uczyć czytać, gdy boli brzuch, a tablica jest niewyraźną plamą. Artykuł pokazuje, że takie nieedukacyjne działania często przynoszą większy efekt niż kolejne zmiany podstawy programowej.

Po czwarte: jakość samego nauczyciela ma większe znaczenie niż wszystko inne. Badacze podkreślają, że szkolenia pedagogów działają, gdy są praktyczne, ciągłe i powiązane z realnymi wynikami uczniów. Jednorazowe kursy czy certyfikaty niewiele zmieniają. Tam, gdzie wprowadzono mentoring, informację zwrotną i sensowne systemy motywacyjne, wyniki nauczania poprawiały się szybko i trwale.

I wreszcie: bodźce i instytucje. Edukacja poprawia się tam, gdzie uczniowie i rodzice widzą sens wysiłku – realną szansę na lepszą pracę, awans społeczny, stabilność. Jeśli rynek pracy nie nagradza umiejętności, gospodarcze korzyści z edukacji pozostają ograniczone. Kapitał ludzki nie rośnie w próżni – potrzebuje gospodarki, która potrafi go wykorzystać.

Wniosek z badania jest prosty, choć politycznie niewygodny: nie wystarczy wydawać coraz więcej na edukację. Trzeba wydawać mądrzej. Musimy mniej pokładać wiarę w magicznych reformach systemowych, a bardziej zwracać uwagę, czy dziecko rzeczywiście się uczy. Bo rozwój nie zaczyna się w ministerstwie – zaczyna się w głowie ucznia, który wreszcie rozumie to, co czyta. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Dyplom już się nie opłaca"

eprasa.pl 619bc0a215